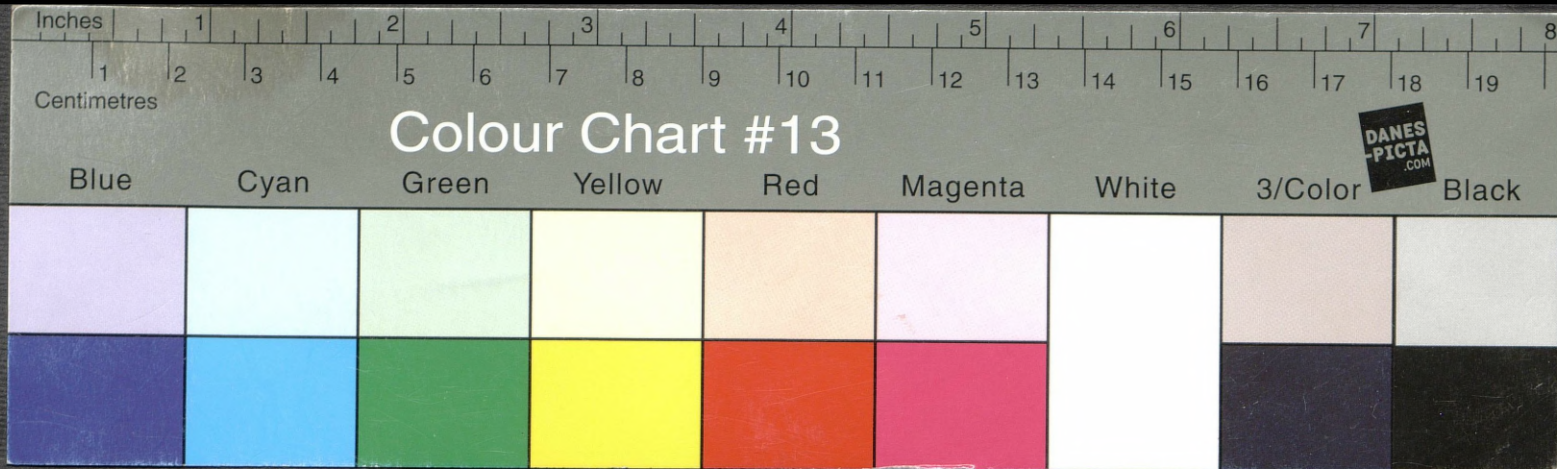




Cyberia

Stefan Majewski

JEDENASTY PANCERNY...



Biuro Prop. i Ośw. M. S. Wojsk.

LONDYN 1942.



Czybicki

Stefan Majewski

JEDENASTY PANCERNY...



Biuro Prop. i Ośw. M. S. Wojsk.

LONDYN 1942.

JEDENASTY PANCERNY . . .

*Żołnierzom 11 dywizjonu
pancernego, poświęcam.*

Autor.

Ilustracje wykonał M. Walentynowicz

STEFAN MAJEWSKI

JEDENASTY PANCERNY...

Opowiadania wojenne z kampanii wrześniowej
1939 r.

Nakładem Biura Prop. i Ośw. M. S. Wojsk.

7198/1



T R E Ś Ć:

	<i>Strona</i>
Wstęp	5
Krzynowłoga — Chorzele	8
Pluton "Ursusów"	12
Krótką notatką	22
Starszy strzelec pancerny Naskręt	32
Bitwa pod Seroczynem	51
Z Warszawską Brygadą Pancerno-Moto- rową	72
W potrzasku	102

WSTĘP

UROCZE miasteczko Owen Sound w Kanadzie, w prowincji Ontario, leży nad pięknym jeziorem Georgian Bay. Przedtem mało kto z tubylczych mieszkańców wiedział coś o Polsce, a już na pewno nikt nie widział polskich żołnierzy.

W tym miasteczku powstał Obóz Wojsk Polskich im. Tadeusza Kościuszki. Zjawili się nagle polscy żołnierze: kadra oficerów i podoficerów przysłana z Anglii; poczęli napływać ochotnicy ze Stanów Zjednoczonych i Kanady wstępujący do wojska polskiego.

Jako zastępca dowódcy tego Obozu przyglądałem się pilnie nowym szeregom. Szkoliłem ochotników na przyszłych towarzyszy pancernych. Przywodzili mi oni na pamięć innych żołnierzy, tamtych z Polski. Często myślałem, czy ci znad jeziora kanadyjskiego też będą tak dzielni, jak tamci znad Warty, znad Wisły, znad Niemna. A tamci byli nie tylko dzielni, byli bohaterscy, byli oddani Polsce na życie i śmierć.

Coraz częściej wracałem do wspomnień, do minionych wydarzeń, do naszej jesieni owianej dymem pożarów i kurzem krwi. Przesuwały mi się w oczach obrazy z pól bitewnych, widziałem moich żołnierzy w najstraszliwszym wysiłku, do jakiego zdolny jest człowiek. I pomyślałem, że wysiłek ten

nie powinien pójść w niepamięć. Zapadło postanowienie, zacząłem pisać.

Są to dzieje 11. dywizjonu pancernego, z którym poszedłem na wojnę. Powstał on w czasie mobilizacji z oddziałów Centrum Wyszkożenia Broni Pancernej w Modlinie, a ściśle biorąc z dowodzonego przeze mnie batalionu doświadczalnego. Dywizjon tworzyli żołnierze przeważnie z czynnej służby i kadra zawodowa; zgrani i wyszkoleni wzorowo, wchłonęli nielicznych zresztą żołnierzy rezerwy. Po paru dniach walk wszyscy stali się jedną rodziną pancerną, nie dającą się prześcignąć w ciężkiej i ofiarnej pracy.

Dywizjonowi przyświecało szczęście żołnierskie od pierwszego strzału nad granicą i przypadł mu honor walczenia do końca, przez całą kampanię. Oddział ten przeszedł wiele ciężkich doświadczeń wojennych, a żołnierze jego dokonywali czynów wychodzących poza ramy zwykłych obowiązków. Trudno dziś myśleć o nich bez wzruszenia, trudno nie mieć dla nich wdzięczności. Pisząc o żołnierzach 11 dywizjonu, spłacam wobec nich dług Polaka, kolegi i dowódcy.

Książka ta nie ma ambicji literackich. Usiłowałem odtworzyć te kilka zdarzeń i przeżyć, które najgłębiej utkwily mi w pamięci i sercu. Nie opisuję wszystkich bitew, w których uczestniczyłem, wybieram te jedynie, które najlepiej oddają charakter naszej kampanii. W opowiadaniach zachowuję fakty bez zmian, tak jak były, z prawdziwymi datami i nazwami. Z pewnych względów nie wszystkie nazwiska przytaczam w pełnym brzmie-

niu, zostaną one jednak podane do wiadomości polskiego czytelnika we właściwym czasie w późniejszym wydaniu książki.

Oto geneza tej książki, pisanej w długie wieczory zimy kanadyjskiej.

Korzystam ze sposobności, aby na tym miejscu wyrazić serdeczne podziękowanie naszemu czołowemu poecie Kazimierzowi Wierzyńskiemu za Jego pomoc i życzliwy stosunek do tej pracy.

Owen Sound, kwiecień 1942.

Autor.

KRZYNOWŁOGA — CHORZELE

DZIEN 1 września 1939 roku był dziwnie piękny, jak zresztą wszystkie dni tego pamiętnego września. Słońce na wschodzie zapaliło przeczyste niebo budząc do życia świat — o, jakże inny od wczorajszego: owego dnia na bezchmurny błękit polskiego nieba wpłynęły potworne macki i tysiącem białych śladów porysowały strop niebieski, a ziemię polską zwilżyła rubinowa rosa wrześniowego świtania.

Gdy o świtaniu padły pierwsze strzały nad granicami Polski, oznajmiając światu wojnę, w obszarze Krzynowłoga-Chorzele stała na straży Mazowiecka Brygada Kawalerii i mój 11 dywizjon pancerny.

Po pierwszych potyczkach nad ranem, które stoczył 1. pułk szwoleżerów, otrzymałem od dowódcy brygady płka dypl. Karcza rozkaz wysłania jednego plutonu samochodów pancernych na podjazd do Chorzel po szosie Krzynowłoga-Chorzele.

Był to pierwszy oddział pancerny, który w tym obszarze szedł w bój z Niemcami. Wyznaczyłem 2 pluton ze szwadronu samochodów pancernych, pod dowództwem chor. Wojcieszaka. Był to stary, doświadczony żołnierz legionowy. Wydałem mu szczegółowe rozkazy, chłopcom pancernym rzuciłem krótkie "czuj duch" i w drogę!

Ledwie pluton odjechał kilka kilometrów za Krzynowłogę, przywitały go ogniem niemieckie najcięższe karabiny maszynowe.

Pluton rozpoczął również ogień i jak burza poszedł naprzód. Śmiałość i szybkość uderzenia była tak wielka i nie oczekiwana dla Niemców, że nie zdążyli zabrać ze stanowisk swojej ciężkiej broni, porzucili sprzęt oraz rannych i uciekli w stronę Chorzel.

Był to silny podjazd z brygady zmotoryzowanej kawalerii niemieckiej .

Pluton pancernych odniósł pierwsze zwycięstwo, ale niestety, poniósł także pierwsze straty. Samochody pancerne chorążego i jego zastępcy były przestrelone pociskami przeciwpancernymi. Chor. Wojcieszak został ranny dwukrotnie, w ramię i w głowę, a jego zastępca ciężko ranny w głowę.

Zadanie plutonu nie było skończone, bo pluton miał dojść do Chorzel, ale co robić, gdy dowódca plutonu i jego zastępca są ciężko ranni? Wtedy ukazuje się w pełni piękna postać żołnierska chor. Wojcieszaka. Nie zważając na odniesione rany, brocząc krwią, opuszcza swój wóz pancerny. Wyznacza innego podoficera na zastępcę dowódcy, każe mu z plutonem dozorować osiągnięty obszar i oczekiwać na dalsze rozkazy. Przenosi do swego samochodu ciężko rannego sierżanta, po czym odjeżdża za Krzynowłogę, gdzie był zorganizowany punkt opatrunkowy. Gdy opatrzonego chorążego i sierżanta, doktor kierujący ewakuacją rannych wydaje rozkaz, aby obu rannych przewieziono do Warszawy, do szpitala. Wszystko dzieje się szybko

i sprawnie, boć to pierwsi ranni na tym odcinku. Pierwsza przelana krew. Każdy radby im nieba przychylić.

Żołnierz o słabym charakterze powiedziałby w takim przypadku: Trudno, jestem ranny. Spełniłem swój obowiązek. Weźcie mnie do szpitala. A co zrobił chor. Wojcieszak?

Staje na baczność przed majorem-lekarzem i melduje:

— Panie majorze, jestem dowódcą plutonu pancernego, mój pluton jeszcze nie wykonał zadania do końca. Muszę je spełnić, póki mam siły, wracam do plutonu. Mimo perswazji doktora wsiadł do samochodu pancernego i odjechał do swoich.

W tym czasie Niemcy wzmocnili wycofujący się i mocno wyszczerbiony oddział, dodając mu 3 samochody pancerne. Wzmocniony podjazd niemiecki ruszył naprzód. Właśnie w chwili, kiedy Niemcy uderzyli na pluton oczekujący dalszych rozkazów, a nasi — o wiele słabsi od Niemców — odstrzeliwając się, zaczęli się powoli wycofywać, nadjechał chor. Wojcieszak.

Było to koło gęstego sosnowego zagajnika, do którego prowadziła z szosy zwykła polna droga. Chorąży w lot się zorientował w położeniu i nim go Niemcy spostrzegli, skoczył swoim samochodem pancernym w las, a pozostałym 2 samochodom z plutonu kazał się wycofywać dalej po szosie.

Chłopcy pancerni zrozumieli w lot śmiały manewr dowódcy. Wycofywali się wolno, wciągając Niemców w zasadzkę. Kiedy samochody pancerne Niemców znalazły się na wysokości kryjóWKi cho-

rażego, otworzył on morderczy ogień z działka przeciwpancernego. Nie trwało minuty, a 3 samochody pluderskie zostały rozbite. Wtedy ruszył na Niemców cały pluton. Pędził ich przed sobą, niszczył w pościgu i dotarł na ich karkach aż do Chorzel.

Zwycięstwo było niewątpliwe, tak w sprzecie porzuconym, jak w rannych i zabitych Niemcach na pobojowisku. Ale największą zdobyczą była sława, którą zyskali pancerni zaraz w pierwszym dniu wojny.

Taki to był żołnierz i taki dowódca — chorąży pancerny Wojcieszak. Jakie były dalsze jego losy?

Dzielny towarzysz pancerny nie odszedł do szpitala; mimo ciężkich ran i moich nalegań uparł się, prosił na wszystko, żeby go zostawić w plutonie. Mówił, że to wstyd dla starego żołnierza — pierwszy dzień wojny zaczynać od szpitala.

Pozostawiłem go jako dowódcę 2 plutonu pancernego. Ten dzielny, stary żołnierz, z ręką na temblaku i głową w bandażach, bił się dniem i nocą z 11. dywizjonem pancernym aż do końca wojny.

PLUTON "URSUSÓW"

BYŁO to dnia 5 czy 6 września 1939 roku w okolicy Przasnysza. Po 5 dniach krwawych walk Mazowiecka Brygada Kawalerii, ulegając wielkiej przewadze nieprzyjaciela, powoli ustępowała w ogólnym kierunku na Wyszaków.

Dzielna to była brygada ułańska, złożona ze sławnych pułków 1. szwoleżerów, 7. pułku ułanów i 11. pułku ułanów ciechanowskich. Prócz pułków ułańskich należał jeszcze do tej brygady słynny w Polsce 3 batalion strzelców z Rembertowa, 1. dywizjon artylerii konnej oraz mój 11. dywizjon pancerny.

Od pierwszego strzału wrześniowego, od pierwszych starć na granicy Prus Wschodnich pokazała brygada swój lwi pazur, zadając Niemcom ciężkie straty. Toteż nieprzyjaciel, mimo znacznej przewagi w ludziach i sprzęcie wojennym, posuwał się bardzo ostrożnie i powoli.

W dniu tym 7. pułk ułanów miał wyznaczony odcinek wschodni, około 3 kilometrów na południe za Przasnyszem.

Ułani sprawnie zaciągnęli pozycję obronną w nocy, przy świetle łun bijących od pożarów okolicznych wsi. Przasnysz gorzał najjaśniej. Czyniło to niesamowity obraz, bo gdzie okiem mogłeś sięgnąć — wszędzie widać było łuny i łuny... Zdawało się, że to piekło idzie do walki z ziemią.

Od świtu wszystko już było gotowe w 7. pułku ułanów na przyjęcie natarcia Niemców. Broń ciężka rozstawiona na stanowiskach zamaskowanych, armatki przeciwpancerne gotowe do strzału, ułani, częściowo spieszeni, na linii, gdzieś w głębi pozycji — odwód dowódcy pułku.

Dnia tego nad ranem otrzymałem rozkaz od dowódcy brygady wysłania jednego plutonu samochodów pancernych "Ursus" do współpracy z 7. pułkiem ułanów. Wyzaczyłem pierwszy pluton pod dowództwem młodego oficera pancernego por. Nahorskiego.

Był to żołnierz do szaleństwa odważny i żądny przygód. Drobnej postaci, szczupły, o chłopięcym wyglądzie, wiecznie uśmiechnięty, wyglądał raczej na niezaradne pacholę niżli na dowódcę pancernego. Ale już pierwszego dnia wojny wyróżnił się swoją brawurą, toteż mir miał u braci pancernej jak i w 7. pułku ułanów, z którym wspólnie nie w pierwszej bitwie brał udział.

Por. Nahorskiego wysłał dowódca 7. pułku ułanów na rozpoznanie nieprzyjaciela do Przasnysza.

Dzień był prawie upalny, niebo porysowane białymi smugami dymów, znaczących drogę zbójcekich wypraw na bezbronne miasta. W górze słychać było bełkot silników samolotowych, powietrze drżało od głuchych odgłosów pękających bomb.

Porucznik Nahorski ze swoim plutonem wyskoczył przed linie ułańskie i tuż przed Przasnyszem przycupnął w cieniu przydrożnych drzew, z boku szosy, aby obserwować skraj miasta. Po kilku mi-

nutach badania, gdy już miał ruszać z plutonem naprzód, zauważył wyjeżdżający z Przasnysza jakiś pojazd mechaniczny. Przykłada lornetkę do oczu, przeciera szkła, klnie pod nosem, bo nie może rozpoznać, co to jedzie? Czołg czy samochód pancerny niemiecki? A może ktoś swój? Może cywil uciekający? Tumany kurzu osłaniają pojazd, odległość coraz bardziej się zmniejsza, zdenerwowanie porucznika rośnie. — Et, do diabła. Postanawia spokojnie czekać na zbliżający się tuman kurzu, stojąc przy armatce w pogotowiu do strzału.

Wreszcie z odległości około 200 metrów wyłania się z obłoków pyłu brunatny "Mercedes". Nie ma wątpliwości, to Niemcy! Porucznik Nahorski daje z armatki strzał, potem drugi. Po chwili kurz opada, pancerni widzą rozbity palący się samochód. Wyskakują z niego Niemcy. Zagrały nasze karabiny maszynowe. Po chwili był spokój. Tylko samochód niemiecki palił się coraz bardziej, a kłęby gęstego dymu tym razem nie pochodziły z palących się chat.

Porucznik Nahorski z kilkoma żołnierzami pancernymi pobiegł do rozbitej maszyny. Był to samochód dowódcy niemieckiej jednostki pancerno-motorowej. Chłopcy w lot zrozumieli ważność zdobyczy, błyskawicznie wydobyli cenną teczkę z rozkazami i planami. Zdążyli jeszcze wyrzucić kilka waliz osobistych, zanim samochód spalił się doszczętnie.

W tym czasie nadjechał patrol 7. pułku ułanów. Por. Nahorski oddał dowódcy patrolu dokumenty i kazał natychmiast doręczyć je dowódcy pułku,

sam zaś z pancernymi przeszukał zabitych Niemców. Okazało się, że samochodem jechał dowódca dywizjonu z niemieckiej brygady zmotoryzowanej kawalerii, mjr. von Korvin, który ciężko ranny dogorywał w przydrożnym rowie.

Zadanie plutonu pancernego było skończone. Por. Nahorski uzyskał wiadomości nieprzeciętne. Żaden jeniec nie dałby takich wiadomości, jakie zawierały zdobyte mapy i rozkazy.

Ale to nie koniec historii. Po powrocie plutonu z zadania dowódca pułku pochwalił chłopców za dobrą robotę i zatrzymał pluton przy sobie, w odwodzie.

Dlaczego por. Nahorski tak się zdenerwował, nie mogąc rozeznąć w тумanie kurzu, kto jechał z Przasnysza? Widział przecież, że podąża jeden tylko pojazd, nie zaś cały oddział. Skąd tedy zdenerwowanie?

Zaraz to wyjaśnię. Po pierwsze, bitwa czy potyczka pancerna jest podobna do bitwy morskiej. Kto pierwszy da celne strzały, ten uzyskuje przewagę. Zdarza się, że liczebnie słabszy oddział przez szybkość orientacji i śmiałość działania może zadać silniejszemu przeciwnikowi ciężkie straty w sprzęcie, a nawet odnieść zwycięstwo.

Oto jeden powód przejęcia się por. Nahorskiego. By wyjaśnić drugi, muszę się cofnąć w opowiadaniu o parę godzin wstecz od dopiero co rozegranych wypadków.

W chwili wysyłania przeze mnie plutonu por. Nahorskiego dywizjon mój był na środkowym odcinku brygady, przy 3. batalionie strzelców. Wys-



łałem wówczas dwa plutony samochodów pancernych: jeden do 7 pułku ułanów i drugi do 11 pułku ułanów na zachód od nas. Po odprawieniu plutonów siedziałem w na wpół rozwalonej stodole z ppłk. Wierońskim. Rozmawialiśmy o bitwie z poprzedniego dnia. Pułkownik ziewał ciągle, rozmowa się nie kleiła, wreszcie zasnął. Był szóstą dobę w ustawicznych walkach. Teraz siedział na jakichś rupieciach, plecami oparty o ścianę, z głową odchyloną w tył. Niedopalony papieros tlił mu się w ustach. Podeszedłem do niego, aby wyjąć mu papieros, ale zrobiłem to tak niezręcznie, że niedopałek spadł za kołnierz rozpiętego munduru pułkownika. I tu zaczęło się wesele: Wieroński zerwał się na równe nogi, narobił piekielnego krzyku i wreszcie wpadł na mnie: — Cóż ty sobie za głupie żarty strugasz? — i dodał jeszcze kilka dźwięcznych określeń w języku żołnierskim. Pobudzili się śpiący oficerowie z pocztu dowódcy. Na próżno starałem się przed nim wytłumaczyć. Nie dał się przekonać i nie udobruchał się bynajmniej.

Zmartwiony tym śmiesznym wypadkiem, wyszedłem na dwór. Słońce już było wysoko. Postanowiłem pojechać do mojego plutonu przy 7. pułku ułanów. Powróciłem do stodoły. Pułkownik patrzył na mnie jeszcze złym okiem. Podeszedłem do niego ze słowami:

— Jadę do 7. pułku ułanów zobaczyć, jak się mają moje chłopaki.

— A jedź do samego diabła, może prześpię się spokojnie.

Wyszedłem ze stodoły, tym razem już ja uražo-

ny, i udałem się do przyległego ogrodu, gdzie stały moje samochody. Zwróciłem się do kpt. S., dowódcy kompanii czołgów "T.K."*):

— Panie kapitanie, pan zostaje jako mój zastępca, ja jadę do 7. pułku ułanów, za dwie godziny wracam.

Teraz zwróciłem się do adiutanta.

— A Pan pojedzie ze mną.

Za chwilę już stał gotowy do drogi mój samochód "łazik".

Przejeżdżaliśmy obok stodoły. W drzwiach stał pułkownik, który mi na drogę rzucił żartem i jakby pojednawczo:

— Jedź, jedź, bo to mało, że cały 7. pułk pilnuje ci twoich gagatków pancernych.

Nie odezwałem się. Kazałem dodać gazu, kiwnąłem ręką ppłk. Wierońskiemu i połączyłem drogą ruszyliśmy wprost na Przasnysz, przed stanowiska 3. batalionu strzelców. Widziałem, jak mi pułkownik dawał gwałtowne znaki ręką, aby wrócić, ale udałem, że tego nie widzę.

Po chwili zaniepokojony adiutant spytał:

— Panie majorze, przecież my walimy prosto na Przasnysz, do Niemców.

— Et, panie kapitanie, po pierwsze nie wiadomo na pewno, czy oni w Przasnyszu są, a po drugie jeżeli są, to się upewnimy.

— Tak jest, panie majorze, ale czy to nie będzie za późno?

*) Czołgi "T.K." są to czołgi lekko opancerzone, uzbrojone w jeden ciężki karabin maszynowy.

— Myślę, że nie, bo patrole 3. batalionu strzelców do tej pory nie dały żadnej wiadomości.

Tak rozmawiając, z pistoletami maszynowymi — zdobytymi na Niemcach — w pogotowiu, wjechaliśmy na pełnym gazie w ulice Przasnysza. Środek miasta jeszcze się palił. Gdzieś w głębi miasta słychać było strzelaninę.

— To pewno patrole 3. batalionu się biją — rzekł kapitan.

Kazałem skrócić w prawo, do szosy wyprowadzającej na 7. pułk ułanów. Była to szosa mocno zaniedbana. Przykryły nas tumany kurzu. Jechaliśmy jak w chmurach. Po jakimś czasie adiutant kazał zatrzymać samochód.

— Co się stało, panie kapitanie? — spytałem.

— Panie majorze, nasz własny pluton, jeżeli działa na tej szosie, może nas rozstrzelać, bo pomyśli, że to Niemcy.

Miał rację, bo właśnie nadjeżdżał ze swoim plutonem por. Nahorski. Już mieli nas na muszce, ale dzięki temu, żeśmy się zatrzymali, rozpoznali swoich.

Oczywiście, zdziwienie por. Nahorskiego i moich chłopców było niemałe. Skąd ja się tu przed nimi znalazłem, i to w otwartym samochodzie?

Pogadaliśmy parę minut, zapytałem o zadanie plutonu, dałem krótkie informacje o strzelaninie w Przasnyszu i rozjechaliśmy się. Chłopcy z wieżyczek samochodów żegnali mnie uśmiechami.

W 15 minut potem rozegrała się scena z niemieckim samochodem mjr. von Korvina.

Taki był drugi powód zdenerwowania por. Na-

horskiego, gdy nie mógł rozpoznać, kto jedzie: swój czy Niemcy?

Zbliżało się południe. Po rozmowie z dowódcą 7. pułku odjechałem do swego miejsca postoju. Na naszym przedpolu był względny spokój, poza działalnością patroli. Płk. Wieroński przybiegł do mnie ze słowami:

— No, już ci daruję za moją oparzoną szyję. Dzielnie się znów spisali twoi pancerni w siódmym pułku. Tylko szkoda, że ci nie odstrzelili nosa, byś go nie wtykał, gdzie nie trzeba.

Przy tych słowach uściskał mnie serdecznie.

Był to mój dawny przyjaciel i wiedziałem, że nie lubi moich wypadów, choć sam się często narażał bez potrzeby. Ale ja, chcąc mu dokuczyć za dzisiejszy poranek, powiedziałem:

— Nie żałuj tak bardzo mego nosa, bo właśnie za chwilę jadę do drugiego mojego plutonu, przy jedenastym pułku ułanów.

— Tak? Którędy jedziesz?

— A no, szosą przez Ciechanów, bo to najlepsza droga.

— Czyś ty zwariował? Jedź na przełaj polnymi drogami. Przecież w Ciechanowie biją się z patrolami jedenastego ułanów Niemcy.

— A toś mi Amerykę odkrył! A któż się ma z nami bić? Wiadomo, że Niemcy. Właśnie tamtędy jadę, żeby się przekonać.

Płk. Wieroński machnął ręką i ze złością rzekł:

— Szukasz guza! — i odszedł wolnym krokiem

na swoje stanowisko, ja zaś gotowałem się do drogi.

Około drugiej godziny po południu Niemcy jak zwykle zaczęli swoje działania, silnie uderzając na 7. pułk ułanów. Artyleria waliła po naszych ułanach, aż się kurzyło, ale brać żołnierska, już z tym otrzaskana, niewiele sobie z tego robiła. Tu i owdzie ktoś oberwał, tu i owdzie zgasło życie ludzkie, zwyczajnie... jak na wojnie... Po jakimś czasie ruszyły do natarcia czołgi niemieckie. Wtedy dopiero na linii 7. pułku ułanów zrobił się ruch: odezwały się armatki przeciwpancerne i ogień karabinów maszynowych. Walka stawiała się coraz gorętsza. Niemcy ziali ogniem z czołgów i walili wprost na wykryte stanowiska armatek przeciwpancernych. Drogo ich to kosztowało. Nasze działka były celne i kąśliwe jak żmije, a chłopaki zawzięte po mazursku. Toteż na prawym skrzydle paliło się już kilkanaście niemieckich czołgów, reszta zwracała do tyłu, ścigana ogniem.

Na lewym naszym skrzydle powiodło się Niemcom lepiej. Armatka przeciwpancerna, stojąca na stanowisku blisko szosy, rozbiła wprawdzie kilka czołgów nieprzyjaciela, ale obsługa jej została prawie wybita. Pozostał przy życiu celowniczy, który musiał uchodzić, bo najeżdżały na niego czołgi niemieckie.

Już poprzednio cofnęła się cała linia ułańska, nie mogąc wytrzymać morderczego ognia z czołgów. Zaczynało być groźnie.

Wtedy jakby spod ziemi wyrósł por. Nahorski ze swoim plutonem pancernym. Jechali szosą na ma-

łej szybkości, ziejąc ogniem z armatek i karabinów maszynowych. W kurzawie pękających granatów i w błyskach wystrzałów szli nietykalni a straszni. Bił od nich spokój i groza. Celny ogień siał spustoszenie. Niemiecka kompania czołgów, która się wdarła w pozycje ułańskie, ginęła w oczach. Dalsze czołgi, na widok palących się towarzyszy, zawróciły w popłochu.

Pozycja była uratowana. Pluton samochodów pancernych "Ursus" spełnił pięknie swe zadanie. Mógłby już odejść na poprzednie stanowisko, ale nie byłby plutonem por. Nahorskiego. Młody oficer zatrzymał samochody, wyszedł ze swego wozu pancernego i z dwoma żołnierzami podbiegł do palących się i rozbitych czołgów niemieckich. Zabrał kilku jeńców, podpalił rozbite czołgi Niemców i odszedł spokojnie do plutonu. Działo się to na oczach Niemców, pod silnym ogniem artylerii i karabinów maszynowych, w najgorętszym ukropie bitwy.

Pluton bez pośpiechu, dumnie i spokojnie, odstrzeliwując się, odjechał na poprzednie stanowisko. Ułani, zajmujący utracone poprzednio stanowiska, dawali rękami i krzykiem wyraz swej radości i podziwu dla męstwa pancernych.

KRÓTKA NOTATKA

PRZEGLĄDAJĄC mój bardzo już zniszczony notatnik z wojny w Polsce, przeczytałem na jednej z kartek: "Rejon Ciechanów, strzelec Szoskis, 20. dywizja piechoty". Te, niby nic nikomu nie mówiące, skróty przemówiły do mnie echem dni wrześniowej kampanii.

Jak na taśmie filmu zaczęły mi się przesuwać obrazy zdarzeń, miejsc, znajomych twarzy i cały korowód tragicznych dni, tak pełnych chwały i wielkiego ducha.

I pośród wielu, wielu moich przeżyć to drobne zdarzenie utonęłoby w niepamięci, gdyby nie ta właśnie nic nikomu nie mówiąca notatka.

W pierwszych dniach wojny, gdy z Prus Wschodnich uderzyły armie niemieckie na południe i po krwawych walkach złamały opór 20. dywizji piechoty broniącej obszaru na wschód od Mławy, Mazowiecka Brygada Kawalerii, przy której był mój 11. dywizjon pancerny, osłaniając skrzydło tej dywizji znalazła się nieco na zachód od Przasnysza. Przegrupowanie brygady po walce nastąpiło w nocy. O świcie, według otrzymanych rozkazów dowódcy brygady, wysłałem pluton samochodów pancernych do 11. pułku ułanów, który w dniu tym zajmował pozycję skrzydłową, kilka kilometrów na północ od Ciechanowa. Dywizjon

mój znajdował się wówczas przy 3. batalionie strzelców, na środkowym odcinku brygady. Około południa wydałem rozkazy swemu zastępcy, sam zaś z oficerem taktycznym dywizjonu kpt. B. wybierałem się do 11. pułku ułanów dla omówienia współdziałania z dowódcą pułku i jednocześnie dla zobaczenia się z plutonem pancernym, wysłanym o świcie.

“Łazik” stał już gotowy do drogi, a mój oficer taktyczny zapytał:

— Panie majorze, którądy jedziemy, szosą przez Ciechanów czy polnymi drogami wprost na obszar jedenastego pułku?

— Myślę, panie kapitanie — odpowiedziałem — że pojedziemy przez Ciechanów, bo droga jest lepsza i szybciej będziemy na miejscu.

— Tak jest, panie majorze. Ale w Ciechanowie podobno już się biją Niemcy z podjazdami jedenastego pułku ułanów.

— Spróbować można. A nuż nam się uda przemknąć? Będzie nam o wiele przyjemniej i weselej niż tłuc się po polach. Prawda, kapitanie?

— Tak jest, panie majorze — odrzekł kapitan niezupełnie przekonany.

— No, to ruszaj, bracie — rzuciłem kierowcy pancernemu, zajmując obok niego miejsce.

Po kilku minutach jazdy kapitan dojrzał patrol ułanów z prawej strony szosy, który harcownikami podjeżdżał do młodego brzeźniaka odległego od szosy o jakieś 200 metrów. Zatrzymaliśmy samochód chcąc się czegoś dowiedzieć o 11. pułku.

Kapitan podniósł się w “łaziku” i wyjąwszy

chusteczkę począł nią wymachiwać, wołając do ułanów :

— Hallo, hallo !

Widać było wyraźnie, że ułani najeżyli się jak spłoszone wilki. Skupili się na skraju lasu i naradzali się między sobą. O, myślę sobie, jest źle. Za chwilę mogą po nas kropnąć ze swoich karabinków, bo mi coś na to wyglądało. Zerwałem się z siedzenia i przyłożywszy rękę do ust huknąłem z całej siły :

— Hej, końskie ogony, a podjedź-no tu bliżej który !

Skutek był natychmiastowy. Zrozumieli, że Niemcy takby ich nie przezywali, toteż jeden z ich grupy oderwał się i krótkim galopem podążał ku nam. Za chwilę już był przy niskim płocie koło szosy. Podszedłem i ja do płota.

— A cóż to, ułan, baliście się nas, czy co, żeście nie chcieli podjechać ?

— Et, panie majorze, nie bali my się, tylko myśleli my, że to Niemcy. Wasze hełmy są podobne z daleka do niemieckich i już my chcieli po was kropnąć, żeby nie to, że pan major po naszymu zawołał.

— No, byczo, ułan, ale trzeba uważać, żeby swoich nie postrzelać.

— My uważali, dlatego my nie strzelali.

— Skąd wy jesteście, z jakiego pułku ?

— Od Józefa, panie majorze (był to znak umówiony na ten dzień, aby nie zdradzać nazwy pułku).

— A co w pułku słyhać ?

— Spokój na razie, panie majorze, ino się nasze podjazdy naparzą z Niemcami, zdaje się, w Ciechanowie.

— A wy jesteście patrolem łączności do brygady?

— Tak jest, panie majorze.

— No, to pokażę wam drogę. Trzymajcie się tej szosy, a widzicie tam na wprost takie wysokie topole?

— Tak jest, widzę.

— Tam już spotkacie naszych.

Miałem zakończyć rozmowę, ale spostrzegłem, że ułan ma na kolbie swego karabina jakieś wycięte znaki.

Zaciekawiony, spytałem :

— A co to, ułan, macie na kolbie swego karabina jakieś dekoracje?

— A to, panie majorze, tak se kozikiem naciąnam krzyżyk, jak ukatrupię Niemca.

— Toście zuch, bo widzę, że wam niedługo miejsca zabraknie.

— Jak będę widział, że jest wielki tłok z danymi trupami szwabskimi, to potem nacinać będę tylko jedną kreskę dla drania.

Roześmialiśmy się wszyscy, a ułan dodał :

— A niech pan major uważają w Ciechanowie, żeby jakiś pluder sobie krzyżyka na karabinie nie naciął!

— Dziękuję wam za przestrożę, ale my pancerni nie gorsi od ułanów, nie damy się. No, cześć, bo czas ucieka.

Po pewnym czasie szybkiej jazdy zaczęły się

ukazywać po obydwu stronach szosy rzadkie zabudowania. Potem już wjechaliśmy w ulice. Gdzieś w głębi słychać było gęstą strzelaninę i suchy trzask karabina maszynowego.

— No, panie kapitanie, tu gdzieś niedaleko powinno być skrzyżowanie dróg?

Kapitan patrząc na mapę odrzekł:

— Tak jest, już się zbliżamy.

Tymczasem nad głowami zaczęły nam świstać pociski. Po chwili dojechaliśmy do skrzyżowania. "Na prawo i gazu!" — rzuciłem żołnierzowi przy kierownicy. Po chwili pędziliśmy na północ do 11. pułku ułanów. Na horyzoncie rysował się las. Mój oficer taktyczny, doświadczony już wielokrotnie na naszych wypadach, kazał zwolnić szybkość kierowcy, sam stanął w samochodzie i ręką podniesioną dawał znaki w stronę lasu, aby nas nie postrzelano, bośmy jechali od strony nieprzyjaciela.

W lesie stały placówki ułańskie. Zatrzymaliśmy się na skraju.

Po chwili zameldował się dowódca szwadronu, młody rotmistrz. Zamieniliśmy kilka zdań, wymieniając wzajemnie wiadomości, po czym udałem się dalej w głąb lasu, do miejsca postoju dowódcy pułku. Po pewnym czasie odnalazłem sztab pułku. Omówiłem z dowódcą szczegóły współpracy, dowiedziałem się, gdzie jest mój pluton pancerny, jeszcze parę chwil pogadałem z moim kolegą zastępcą dowódcy pułku, zrobiłem kilka zdjęć fotograficznych i pojechałem na oś pracy mojego plutonu pancernego.

O parę kilometrów dalej spotkałem moich

chłopców z chor. Wojcieszakiem, który nimi dowodził. Znów kilka uwag, kilka wesołych słów dla podtrzymania nastroju i odjazd tą samą drogą.

Przejeżdżając przez linię placówek ułańskich w stronę Ciechanowa, zatrzymałem samochód, chcąc się pożegnać z sympatycznym rotmistrzem. Odradzał mi powrót przez Ciechanów, gdyż jego patrol stwierdził w tym mieście obecność Niemców, lecz ja upewniałem go, że dam sobie radę i na pewno przejadę. Gdy już miałem ruszać, zatrzymał mnie rotmistrz prośbą:

— Panie majorze, czy nie mógłby pan zabrać ze sobą jednego piechura, który dziś w nocy dołączył się do nas. My, ułani, mamy zadanie tu, a za chwilę gdzie indziej, stoczymy siodła i w drogę, a co z nim zrobę?

— Oczywiście — zgodziłem się. — Mam jeszcze jedno wolne miejsce w łaziku. Proszę bardzo.

Rotmistrz wydał rozkaz ułanom, aby przyprowadzili piechura. Z daleka już widzę obraz bardzo zbitego żołnierza. Niegolony od paru dni, z wychudłą twarzą i za dużym hełmem, przedstawiał dość żałosny wygląd. Poznałem z daleka, że był to Żyd.

— Zameldujcie się panu majorowi.

Żołnierz podszedł do mnie przepisowo, stanął na baczność i melduje:

— Panie majorze, strzelec Szoskis melduje się posłusznie na rozkaz.

— Powiedźcie, skądżeście się tu wzięli?

— Melduję posłusznie, dołączałem.

— To wiem, że dołączyliście, ale skąd, z nieba?

— Melduję posłusznie, że dwudziesta dywizja została rozbita i ja sam dołączałem.

Szlag mnie trafił na słowa: "dwudziesta dywizja została rozbita". Każdy łązik miał taką odpowiedź, że jego pułk lub dywizja została rozbita i tylko on jeden pozostał. Postanowiłem to wyjaśnić przy ułanach, dla celów po prostu moralnych.

Zwracam się do owego strzelca i mówię:

— A skąd wiecie, że dywizja została rozbita?

Stropił się trochę i melduje:

— To pewnie nie była dywizja, a pułk.

— Już pułk, to kolega był dowódcą tego pułku?

— Zdaje mi się, że to był batalion, albo może kompania.

Śród ułanów wybuchł śmiech. Zwróciłem się do piechura:

— Popatrzcie, jak się z was wiara śmieje.

— Panie majorze, to na pewno nie była kompania. To był pluton.

— W której byliście kompanii?

— W pierwszej kompanii, pierwszego batalionu.

— A jak się nazywał dowódca kompanii?

— Pan kapitan Wr...

— Dobrze, a dowódca plutonu?

— Pan porucznik W...

— Bardzo dobrze, a w której byliście drużynie?

— W trzeciej.

— Nazwisko drużynowego? Powiedział.

— Świetnie, obywatelu; widzę, że znacie swoich przełożonych.

Byłem mile zdziwiony.

— Opowiedzcie nam, jak to było z tym waszym rozbitym plutonem.

Strzelec Szoskis poprawił hełm, który opadł mu na oczy, i zaczął:

— My siedzieli w okopach, można powiedzieć. Dobre okopy, z betonu. Od samego świtu, może o dziesięć kilometrów od naszych okopów, fruwał balon. Potem wyleciały może ze dwa, ze trzy aeroplany. Trochę się postrzelało z patrolkami i do obiadu, można powiedzieć, był spokój.

— A co dalej?

— Po obiedzie — ciągnął opowiadanie strzelec Szoskis — nadleciało może dwieście samolotów i jak zaczęli nad nami nisko fruwać, jak zaczęli nas bombardować, to się zrobił sądny dzień. Potem strzelała artyleria, a potem, panie majorze, wyszły czołgi i taki był straszny ogień, że ja już nic nie widziałem. Nasz kapral i starszy strzelec, co stali przy mnie, byli zabici. A potem już był wieczór i ja sam jeden się wycofałem.

Westchnął głęboko i popatrzył smutnymi oczyma na mnie. Wiedziałem, że żołnierz mówi prawdę. Istotnie, tak było tego dnia w 20. dywizji.

— Dobrze, obywatelu — powiedziałem. — Móvicie sami, żeście wtedy nic nie widzieli, a teraz opowiadacie wszystkim: dwudziesta dywizja została rozbita. Gadanie wasze przynosi tylko szkodę, u słabych żołnierzy sieje panikę.

Bardzo stropiony strzelec znów poprawił opadający hełm, stanął na baczność i drżącym głosem mówił:

— Panie majorze, ja wiem, ale mi się zdawało, że w tej strasznej wojnie nikt już nie został żywy. Ja jestem dobry żołnierz, ja nie uciekałem do Modlina, ja szukałem wojska i tu się dołączyłem. Ja jestem z czynnej służby, ja wszystko mam przy sobie, i karabin, i bagnet. Ja... ja... — jęknął bliski płaczu — ja się chcę bić o Polskę.

Powiało wzruszeniem.

— No, zobaczymy, jaki wy jesteście żołnierz. Zabieram was ze sobą do bardzo dobrych żołnierzy piechoty, do trzeciego batalionu strzelców. Siadajcie do samochodu.

— Rozkaz, panie majorze.

I z tymi słowami zaczął się pośpiesznie tarabaniać do samochodu.

W drodze powrotnej przez Ciechanów znów nas ostrzelano, ale przemknęliśmy szczęśliwie; około drugiej po południu byłem już na miejscu swego postoju. Tu opowiedziałem płk. Wierońskiemu historię strzelca i poprosiłem, aby przydzielił go do jednej ze swoich kompanii.

W parę dni później, po ciężkich walkach, ponownie byłem z 3. batalionem strzelców. Przypomniał mi się mój pupil z 20. dywizji. Zapytałem pułkownika Wierońskiego:

— A jak się sprawuje strzelec Szoskis?

Pułkownik pomyślał chwilę, po czym rzekł:

— Mój kochany, był to jeden z najdzielniejszych patrolowców, niesłychanie odważny i śmiały, nigdy nie zmęczony, szedł na ochotnika na najcięż-

sze patrole. W obszarze Wyszkowa, będąc na patrolu, wpadł w zasadzkę niemiecką, ale walczył do ostatniego naboju, nie chcąc się poddać. Zginął na polu chwały!

STARSZY STRZELEC PANCERNY NASKRĘT

WYRUSZYŁ z moim dywizjonem pancernym na wojnę jako kierowca czołga st. strz. panc. Naskręt. Pochodził z Mazurów, gdzieś znad granicy Prus Wschodnich. Był to dobry i zamiłowany w broni pancерnej żołnierz. Ale tak się złożyło, że wszyscy moi chłopcy byli dobrymi żołnierzami, a wojna dopiero pokazała te ich wartości charakteru, których w czasie pokoju nie można było ocenić.

Po kilku dniach bitew brałem udział z 11. dywizjonem pancernym w przeciwnatarciu, które wykonywała część Mazowieckiej Brygady Kawalerii dla powstrzymania naporu Niemców na wschodnie skrzydło 20. dywizji piechoty.

Była to jedna z większych bitew na północy. Atak chmury bombowców niemieckich i ogień artylerii, bardzo celnie kierowany przez obserwację z balonu na uwięzi, sprowadził piekło na ziemię. Późniejsze natarcie czołgów i piechoty zachwiało obronę dwudziestej dywizji.

Dzień chylił się ku zmrokowi. Mazowiecka Brygada częścią swych sił ruszyła do przeciwnatarcia. Odrzuciliśmy Niemców z krwawymi stratami. Zapadła noc, ale walka nie była skończona. Przy świetle palących się okolicznych wsi Niemcy parli naprzód, rzucając nowe siły. Ich artyleria znów rozpoczęła piekielny ogień na nas, a pociski z ka-

rabinów maszynowych latały jak złośliwe świetliki.

Padły rozkazy wycofania się na Przasnysz. Było to koło wsi Łanięta. Mój szwadron samochodów pancernych, ściągnięty wcześniej, wycofał się szosą na Przasnysz, lecz kompania czołgów "T.K", wspierająca natarcie, znajdowała się jeszcze na polu bitwy. Noc, choć rozświetlona łunami pożarów, była ciemna.

Przynagliłem dowódcę tej kompanii kpt. S. do szybkiego jej wycofania, tym więcej że już i trzeci batalion strzelców ściągnął do szosy. Ale łatwiej wydać rozkaz niż go wykonać w nocy, wśród bitwy, zwłaszcza dla czołgów.

Toteż upłynęło sporo czasu, nim się wreszcie kompania znalazła na szosie. Sam jeszcze nie wiedziałem, jakie mam straty po bitwie. Maszerowaliśmy na płonący Przasnysz.

Poprzedzał nas 3 batalion strzelców. W tym czasie saperzy zaminowywali i barykadowali wloty ulic do Przasnysza. Miny były zaostrzone i choć porobiono przejścia dla cofających się oddziałów, i choć saperzy dozorowali tych przejść, jednak po nocy, w podnieceniu walki, ktoś nieostrożnie spowodował wybuch miny. Nastąpił ogłuszający huk. Powstał tumult. To wyleciało w powietrze działko przeciwpancerne z całym zaprzęgiem z 3. batalionu strzelców. Odezwały się wołania rannych o pomoc, rozkazy i nawoływania oficerów zaprowadzających porządek. Po jakimś czasie ruszyliśmy dalej.

Straszna to była noc i na pewno pozostanie w pamięci tych, którzy tam wówczas byli.

Otrzymałem rozkaz skierowujący mnie z dywizjonem pancernym do jakiejś miejscowości za Przasnyszem. Po rozmieszczeniu się oddziałów pancernych na nocny postój dowódca porządkowali swoje kompanie, obliczali straty w ludziach i sprzęcie po ostatniej ciężkiej bitwie. W ciągu nocy dostałem raporty stanów i strat. Były duże, około 20%. Przed świtem przyszedł do mnie dowódca kompanii "T. K.", aby ustnie zdać mi raport o stratach, jakie jego kompania poniosła.

— Panie majorze — meldował — straciłem 4 czołgi, zostały rozbite przez armatki przeciwpancerne Niemców. W chwili kiedy otrzymałem rozkaz wycofania kompanii, jeszcze jeden czołg został uszkodzony. Była już noc, Niemcy podchodzili coraz bliżej. Skoczyłem — opowiadał kapitan — do tego wozu pancernego, aby ponaglić załogę do szybkiego dołączenia. Kierowca czołga st. strzelec panc. Naskręt zameldował mi wówczas: "Panie kapitanie, zaraz usunę zacięcie, bo nie mogę ruszyć". "A cóż się stało z tym czołgiem?" spytałem podrażniony — opowiadał mi dalej. "Zdaje się, że zbiornik z benzyną przebity i już brak paliwa, ale nie mogę tego zobaczyć po ciemku, a silnik nie chce zaskoczyć" — odpowiada Naskręt. "To dalej, chłopcy, wymontować broń i podpalić czołg. Ja was zabiorę do kompanii, bo zacięcia nie usuniecie i was szlag trafi." Na to strzelec Naskręt zaczął mnie prosić, żeby go zostawić jeszcze chwilę, że on czołg swój uratuje, że jeszcze zdąży go uruchomić

i dołączyć do kompanii. Czas naglił, a mnie, panie majorze, szkoda było też czołga wobec strat poniesionych. Zgodziłem się pozostawić kaprala-dowódcę i st. strzelca Naskręta przy czołgu. Jeśliby się czołg nie dał uruchomić, mieli go spalić, aby się nie dostał w ręce Niemców. Sam odjechałem do kompanii. Myślałem, panie majorze — mówił dalej kapitan — że do świtu dołączą, a tymczasem przed chwilą przybył tylko dowódca czołga, bez czołga i bez strzelca Naskręta.

— A cóż się stało z Naskrętem? — spytałem kapitana.

— Nie wiem, pewnie go wzięli Niemcy. Kapral meldował mi, że gdy odjechałem od nich, udało się im załatać przebitą zbiornik. Mimo to musiało być jeszcze jakieś uszkodzenie, bo silnik nie chciał zaskoczyć, choć trochę benzyny jeszcze zostało w zbiorniku. Patrole bojowe Niemców już były blisko, lada chwila mogli zagarnąć czołg z załogą. Wówczas kapral chciał podpalić czołg, ale oparł się temu stanowczo Naskręt, który za nic nie chciał się rozstawać ze swoim wozem pancernym. Nie pomogły prośby ani groźby kaprala. Naskręt się uparł i mówił, że albo zginie razem z czołgiem, albo go uratuje. Kapral widząc, że nic nie poradzi, nawymyślał mu od wariatów i poszedł szukać dywizjonu sam, pozostawiając Naskręta z czołgiem. To jest wszystko, panie majorze, mam zatem pięć czołgów straconych — zakończył kapitan.

— Tak jest, kapitanie, straty są bolesne, ale przecież niedaremnne. Niemcy też oberwali porządnie za swoje. Nam uzupełnienie nadeślą z Modlina

i nie ma się znów tak bardzo czym przejmować. Od tego jest wojna — rzekłem dla dodania otuchy przygnębionemu kapitanowi.

— A co do tego Naskręta — dodałem jeszcze — zuch chłop i szkoda go, bo taki mógł jeszcze sporo Niemców napsuć.

Na tym rozmowa się urwała, gdyż zostałem wezwany do brygady po rozkazy.

Minęło parę dni wśród bezustannych walk. Dywizjon pancerny brał udział we wszystkich działaniach brygady, ale powoli topniał, a uzupełnienie nie nadchodziło. Któregoś dnia na noc ściągnąłem dywizjon do małego lasu na postój. Było to gdzieś w okolicy Wyszkowa. Zwołałem dowódców kompanii na odprawę. Siedzieliśmy w opuszczonej przez mieszkańców chacie, stojącej tuż przy lesie. Dowódcy kompanii meldowali, że sprzęt pancerny jest wprost w rozpaczliwym stanie, gdyż pracuje dzień i noc bez przerwy, i mimo nadludzkich wysiłków załóg czołgowych i warsztatu dywizjonowego goni już resztkami wytrzymałości. Ludzie wyczerpani, zasypiają przy kierownicy.

— Proszę panów — odpowiedziałem — a czy który oddział w brygadzie mniej pracuje od nas? A czy była lub czy jest możliwość dania nam choć jednego dnia odpoczynku? Musimy wytrzymać i musimy się bić, choćby w dywizjonie został jeden tylko czołg.

Nikt z dowódców kompanii nie podniósł dyskusji. Po odprawie zwrócił się do mnie dowódca kompanii czołgów "T.K."

— Panie majorze, w kompanii, a nawet w dy-

wizjonie, chodzi wersją, że st. strz. Naskręt celowo nie chciał opuścić czołga i że w ten sposób chciał się dostać do niewoli.

— Cóż to za brednie opowiadają o tak dobrym żołnierzu? Na czym opierają swoje złośliwe podejrzenia?

— Mówią, panie majorze, że pochodził on z nad granicy Prus Wschodnich, że gadał po szwabsku, ale właściwie nic więcej.

— No, to trzeba ukrócić tę plotkę krzywdzącą dobrego żołnierza i dać komuś dobrą nauczkę dla przykładu.

— Tak jest, postaram się to zrobić — odrzekł kapitan.

W tej chwili wszedł do izby oficer łączności dywizjonu por. Herman trzymając kartkę papieru w ręku i meldował:

— Panie majorze, w tej chwili przyłapałem na podsłuch jakąś radiostację, krótkofalówkę niemiecką. Stacja ta podawała dokładnie miejsce postoju naszego dywizjonu.

Oczywiście, zaraz nakazałem alarm i odmarsz dywizjonu do dużego lasu, odległego o dwa kilometry na wschód. Zameldowałem jednocześnie dowódcy brygady o przesunięciu dywizjonu i o powodach.

O świcie Niemcy zrobili użytek z tej wiadomości swego radia. Nad lasiem, w którym staliśmy poprzednio, szalały bombowce niemieckie. Głośne wybuchy pękających bomb zbudziły mój dywizjon. Chłopcy wybiegli na skraj lasu ciesząc się, żeśmy tak Niemców wykiwali.

W tym czasie przybył oficer z brygady z rozkazami, według których cały dywizjon miał natychmiast ruszyć na zadanie. Zwołałem oficerów na krótką odprawę, wydałem rozkazy i dywizjon częściami zaczął wyruszać do działań. Stałem na skrzyżowaniu dróg z dowódcą kompanii czołgów, czekając na jego kompanię, która za chwilę miała tędy przejeżdżać.

— Wie pan major — zwrócił się do mnie kapitan — że jednak z tym Naskrętem nie jest coś w porządku.

— A cóż u diabła znów z tym Naskrętem? Nie ma pan większych zmartwień, panie kapitanie?

— Zaszły pewne wypadki dziś w nocy, o których pan major nie wie. Otóż, po naszej rozmowie wrócił nad ranem do kompanii Naskręt, i to wrócił na niemieckim motocyklu "D.K.W.".

— No, to byczo, powinien się pan cieszyć; zuch chłopak.

— Tak jest — odrzekł kapitan — ale proszę posłuchać dalej. Zameldował się szefowi kompanii i prosił go, żeby mu dał bańkę benzyny i jednego żołnierza, bo gdzieś o parę kilometrów stąd widział w rowie nowiutki motocykl-solówkę "B.S.A.", porzucony bez benzyny. Szef go rugnął początkowo, ale Naskręt tak przedstawił sprawę swojej nieobecności, że w końcu szef dał mu jednego strzelca i bańkę z benzyną.

— No i co dalej — pytałem.

— A no i pan Naskręt pojechał swoją "dekawką" i dotąd go nie ma.

— To świetnie, panie kapitanie, przyprowadzi jeszcze drugi motocykl za chwilę i w porządku! Widzę z tego, że dzielny to chłopak i wart pochwały — dodałem.

Właśnie nadjeżdżała z lasu oczekiwana kompania czołgów. Pożegnałem kapitana i wsiadłem do mego łazika, aby wyprzedzić czoło kompanii.

Jadąc rozmyślałem jeszcze czas jakiś o Naskręcie i szukałem powodów niepokoju kapitana, lecz wkrótce pochłonięły mnie wypadki dnia i zapomniałem się dowiedzieć, czy w końcu Naskręt wrócił, czy nie.

I znów minęły dwa czy trzy dni. Byliśmy w obszarze Radzymina, gdy brygada otrzymała rozkaz wycofania się przez Mińsk Mazowiecki pod Siedlce, na nowe zadanie. Z kolei dowódca brygady ustalił moją trasę i godzinę rozpoczęcia marszu. Miałem iść jako samodzielna kolumna. Przy mnie posuwał się dowódca brygady płk. dypl. Karcz ze swoim sztabem. Pułki kawaleryjskie i 3. batalion strzelców skierowano innymi drogami.

Przybyłem do dywizjonu i wydałem rozkazy do marszu. Zapadała noc. Dywizjon szykował się do wyruszenia. Część kompanii czołgów "T.K." była już na szosie i tam właśnie usłyszałem jakieś hałasy i krzyki: "Zabić drania, to szpieg!"

Podszedłem bliżej i krzyknąłem:

— Co się tu dzieje, co to za hałasy?

Uciszyło się momentalnie, rozstąpiła się zbita gromada, a z ziemi podnosił się powoli jakiś żołnierz. Podszedłem do niego, twarz miał zakrwa-

wioną, ślaniał się na nogach. Nie mogąc go poznać, spytałem :

— Jak się nazywacie ?

— Starszy strzelec pancerny Naskręt — odpowiedział stłumionym głosem.

W tej chwili nadbiegł dowódca kompanii i paru podoficerów.

— Co to jest, panie kapitanie, z tym strzelcem ?

— spytałem.

— Panie majorze, melduję posłusznie, że właśnie w tej chwili dopiero się zjawił po ostatnim zniknięciu i sam go dopiero pierwszy raz widzę.

— A kto go pobił i o co poszło ? — dopytywałem.

Wtedy odezwały się głosy kolegów :

— Panie majorze, to szpieg niemiecki, to piąta kolumna, zabić drania ! — padały różne głosy.

— Spokój ! — huknąłem — niech jeden mówi, a nie wszyscy na raz, bo nie nie rozumiem.

Wtedy wystąpił jeden z żołnierzy pancernych i zaczął :

— Panie majorze, od czasu kiedy w natarciu pod Łanietami Naskręt został z czołgiem, aby się oddać do niewoli, zaczynają spadać nieszczęścia na dywizjon. To ktoś podaje przez radio, gdzie nasz dywizjon stoi w nocy, to samoloty nas naparzają. Każde jego ukazanie się jest akurat w najgorszej chwili dla dywizjonu. Potem znów znika. Pewnie daje znać Niemcom, co mamy robić i gdzie jesteśmy. Teraz się znów zjawił i na pewno sprowadzi jakieś nieszczęście. To szpieg, panie majorze, na pewno, niech cała kompania powie !

— Tak jest, panie majorze — odezwały się liczne głosy słuchających.

Czas nagle, dywizjon już był gotów do marszu.

— Dobrze, chłopcy, ja się z nim rozprawię, ale w tej chwili brak mi jest na to czasu. Włos mu z głowy nie ma prawa spaść aż do chwili, kiedy będę mógł z nim pogadać.

Po czym zwróciłem się do kapitana:

— Panie kapitanie, wyznaczyć podoficera do pilnowania st. strzelca i jak będzie chciał wiać, kula w łeb! Na pierwszym dłuższym postoju przyprowadzić go do mnie. A teraz w drogę! Już czas ruszać!

Kapitan wydał rozkazy, żołnierze rozeszli się do swoich maszyn. W parę minut potem ruszyliśmy.

Ale pierwszy dłuższy postój był daleki. Jedenasty dywizjon pancerny musiał pokonać tej strasznej nocy nieopisane trudności przemarszu po zatłoczonych szosach, wreszcie stoczyć parogodzinny bój pod Seroczynem następnego dnia.

Po walce, na krótkiej zbiórce dywizjonu, dowódcy kompanii zdawali mi raporty o stratach w sprzęcie i ludziach oraz o stanie zapasu benzyny w maszynach. Straty miałem duże, bo kilka wozów z rzutu taborowego dywizjonu pod dowództwem kpt. D. oraz kpt. J. i oficera gospodarczego z kilkunastoma podoficerami i strzelcami oderwało się w kierunku na Łuków i nie zdołało dołączyć do dywizjonu, gdyż Niemcy przecięli im drogę. Prócz tego dwa samochody pancerne "Ursus" i jeden czołg "T. K." zostały rozbite oraz przepadł por. Herman i kilku podoficerów i strzel-

ców pancernych w natarciu pieszym. Stan benzy-
ny — tylko w zbiornikach, na dwie godziny mar-
szu.

Zapadał zmrok. Położenie było więcej niż
“podłe”. Po krótkiej odprawie zdecydowałem
marsz na Dęblin, gdzie mogłem liczyć jeszcze na
otrzymanie materiałów pędnych. Przed wydaniem
rozkazów kpt. S. zameldował:

— Panie majorze, st. strzelec Naskręt znów
zniknął jak kamfora.

Aż mną rzuciło.

— Jakto, a ten podoficer, który go pilnował,
gdzie on był?

— Podoficer jest.

— No, panie kapitanie, dość już tych sztuk.
Czeka go kula w łeb za niewykonanie rozkazu w
obliczu wroga.

Zacząłem i ja poddawać się sugestii, że istotnie,
ilekroć zjawiał się ten osławiony Naskręt, tyle razy
byliśmy w szczególnym ukropie.

Zwróciłem się z gniewem do kapitana:

— Dawaj mi pan natychmiast tego podoficera.

Kapitan szybko odszedł do kompanii. Minęło kil-
ka minut, wreszcie zajeżdża motocyklem i meldu-
je z uśmiechem:

— Panie majorze, znalazł się Naskręt. Dopiero
co dołączył z dwoma naszymi strzelcami. Zaraz go
przedstawię panu majorowi.

Mimo, że czas naglił, postanowiłem skończyć
wreszcie z tą zagadkową postacią. Po paru minu-
tach przyprowadzono go.

W izbie, w której wydawałem rozkazy do dalszego działania swoim oficerom, zapanowała cisza kościelna. Wiedziano, że za chwilę padnie wyrok krótki i jedyny wobec poszlak ciężających na tym żołnierzu pancernym.

St. strz. Naskręt drżącym głosem meldował swój powrót. Podniosłem się z ławy i podeszedłem do niego mówiąc:

— Wiecie dobrze, jakie na was ciążyą zarzuty. Wiecie, co o was mówią koledzy w dywizjonie. Znacie mnie dobrze. Nie mam czasu na pieszczoty. Gadajcie od początku jak było, a przy najmniejszym kłamstwie — kula w łeb!

Naskręt wyprostował się jak struna i głosem przyciszonym ze wzruszenia zaczął:

— Panie majorze, w bitwie pod Łanietami czołg mój został uszkodzony pociskiem. W tym czasie dowódca kompanii nakazał wycofanie się do szosy. Już było ciemno, nie mogłem znaleźć uszkodzenia, by ruszyć z miejsca. Po pewnym czasie przybył pan kapitan i widząc zbliżających się Niemców kazał wymontować broń i czołg spalić. Uprosiłem pana kapitana, żeby mi pozwolił pozostać w maszynie, myślałem, że zdążę uruchomić czołg, zanim mnie Niemcy zafasują. Pan kapitan się zgodził i odjechał. Myśmy z dowódcą czołga zatkali dziurę w zbiorniku z benzyną, ale silnika uruchomić się nie dało. Wtedy pan kapral chciał, żebyśmy podpalili czołg, bo już był najwyższy czas wiać. Ale ja postanowiłem zginąć razem z czołgiem albo czołg uratować. Zgniewał się pan kapral, porozstawiał mi familię po kątach i sam po-

szedł, a ja po kilkunastu minutach czołg wreszcie uruchomiłem. Kropnąłem serię z cekaemu do Niemców, którzy byli od mojego czołga o kilkanaście metrów. Skoczyłem do kierownicy i gazu, przez pola na przelaj! — mówił rozgrzewając się opowiadaniem Naskręt.

— Nad ranem dojechałem do Ciechanowa. O mało mnie nasza piechota nie rozstrzelała, bo myśleli, że to niemiecki czołg. Była to placówka piechoty, zdaje się, dwudziestej dywizji. Sierżant, dowódca tej placówki, kazał mi zostać z czołgiem przy sobie. Przebyłem tam do wieczora. Biliśmy się z Niemcami, którzy podchodzili do nas. Nie mogłem znikąd wykombinować benzyny dla czołga ani nie pomogły moje prośby, aby mnie sierżant zwolnił szukać mego dywizjonu. Pod wieczór piechota się wycofała. Ja nie mając benzyny wymontowałem karabin maszynowy, a czołg podpaliłem — mówił ze smutkiem.

— Co było robić, panie majorze? Musiałem maszerować razem z nimi na piechotę. Na drugi dzień przybyliśmy do Modlina. Poprosiłem sierżanta, żeby mi dał zaświadczenie, że byłem dwa dni z nimi i że czołg musiałem spalić.

Naskręt sięgnął do kieszeni, wyciągnął zniszczony portfel i wyjął z niego mocno wybrudzoną kartkę papieru.

— To jest, panie majorze, to właśnie zaświadczenie.

Przy tych słowach podał mi ów papier. Oglądałem ciekawie pismo. Wydawało się autentyczne.

— Jak się nazywał ten sierżant? — spytałem.

— Nie pamiętam, panie majorze, ale tam stoi napisane — odrzekł niepewnie Naskręt.

— Stoi napisane, ale tak, że nie mogę odczytać nazwiska, a wyście byli z nim przez dwa dni i nie zapamiętaliście, jak się nazywa?

Widziałem, że się stropił. Upewniło mię to, że dotychczas mówił prawdę, bo gdyby opowiadanie o sierżancie było zmyślane, Naskręt bez zająknięcia wymieniłby jego nazwisko.

— Dobrze — burknąłem gniewnie — mówcie dalej!

— W Modlinie poszedłem do komendy dowiedzieć się, gdzie może być nasz dywizjon. Tam mnie przytrzymała żandarmeria i z grupą różnych łazików odesłali mnie do Warszawy. Po drodze, panie majorze, zwałem im, bo nie mogłem pomyśleć, żebym miał już nie wrócić do dywizjonu. Wracałem piechotą z powrotem do Modlina. Widziałem w rowach kilka rozbitych i uszkodzonych samochodów, ale nie mogłem żadnego uruchomić. Wreszcie natknąłem się na porzucony motocykl-solówkę. Motocykl prawie nowy, miał tylko zerwane linki od hamulców i był bez benzyny. Udało mi się wydostać trochę benzyny z rozbitych samochodów, uruchomiłem motor i pojechałem do Modlina. Tam wykombinowałem cały bak benzyny i udałem się szosą do Przasnysza, gdzie odnalazłem dywizjon. Wtedy, panie majorze, zameldowałem się u sierżanta-szefa kompanii i prosiłem, żeby pan szef dał mi bańkę benzyny i jednego strzelca pancernego, bo o jakie 6 czy 8 kilometrów stamtąd widziałem w rowie nieuszkodzony motocykl

“B.S.A.” bez benzyny. Pan szef mnie rugnął, ale benzynę i strzelca dał. Może zabawiłem z godzinę, nimżeśmy wrócili w to samo miejsce, gdzie stał dywizjon, ale już dywizjonu tam nie było. Zacząłem znów go szukać po szosach i rozpytywać się wszystkich, ale pan major wie, że nikt mi tego powiedzieć nie mógł. Dopiero po dwu dniach znalazłem dywizjon na szosie pod Radzyminem, gdzie mnie pan major uratował od śmierci, bo chcieli mnie zabić koledzy — kończył swoje opowiadanie Naskręt.

— To już wszystko? — spytałem — a ta wasza ostatnia nieobecność?

— Panie majorze, cały czas pilnował mnie w motocyklu pan kapral. Ale pod Seroczynem, jak trzeba było wyrzucić Niemców, co nam od tyłu zachodzili, pan kapral kazał mi wziąć karabin i razem z innymi kierowcami zaczęliśmy naparzać Niemców. Jakiś doszli do małego lasku, z którego uciekali Niemcy, ja z dwoma jeszcze chłopakami wyskoczyliśmy na drugą stronę lasku i dawaj kropić po nich! Nie wiem, jak to długo było, ale potem zobaczyliśmy, że Niemcy ruszyli do natarcia czołgami i piechotą, na Seroczyn. Chcieliśmy się wrócić, a tu już Niemcy. Musieliśmy przekradać się nad brzegiem rzeczki po szyję w wodzie i dopiero teraz, cudem, odnaleźliśmy dywizjon. To już wszystko, panie majorze. Powiedziałem prawdę, jak na świętej spowiedzi, ale wiem, że pan major każe mnie rozstrzelać, bo wszystko się składa przeciw mnie — powiedział z prostotą mazurską.

Zapanowała cisza. Przyglądałem się strzelcowi

badawczo. Widziałem jego przygnębioną twarz, jego otwarte spojrzenie niewinnych oczu. Wszystko się zgadzało, nie było luki w jego opowiadaniu. Prawda biła z oczu, a drżący głos mówił o wzruszeniu. Nie miałem wątpliwości: był ofiarą zbiegu wypadków.

Podszedłem do niego blisko, położyłem mu rękę na ramieniu i patrząc mu w oczy rzekłem:

— Wierzę wam, Naskręt, że mówicie prawdę. Uniknęliście cudem najgorszej śmierci, bo śmierci od swoich. Wierzę wam, że nie zawiedziecie mnie. Wyznaczam was z powrotem na kierowcę czołga. Możecie odmaszerować.

Widziałem, jak st. strzelec pancerny Naskręt drżał cały z przejęcia, jak nie mógł wykrztusić ze siebie słowa, a łzy jak groch potoczyły się po jego zbitej twarzy.

Zwróciłem się do zebranych oficerów:

— Proszę ogłosić w kompaniach o mojej decyzji co do Naskręta. Nie śmie mu nikt robić żadnej przykrości. A teraz w drogę, za 10 minut odmarsz!...

I znów upłynęło kilka krwawych dni wśród bezustannych walk. W rejonie Lublina gen. Piskor, dowódca armii, podporządkował mi wszystkie oddziały pancerne znajdujące się w jego dyspozycji. Razem z moim dywizjonem stanowiło to dwa pełne bataliony czołgów "7.T.P.", "Vickersa" i "T.K.S.", nie licząc samochodów pancernych. Wreszcie nadszedł ostatni, trzydniowy bój o Tomaszów Lubelski między 18 a 22 września. Byłem

wówczas przydzielony z moimi czołgami do wsparcia Warszawskiej Brygady Zmotoryzowanej, dowodzonej przez płk. dypl. Roweckiego. Większością sił wspierałem wówczas 1. pułk strzelców pieszych ppłk. Wzacnego.

Krwawy to był bój z pancerną dywizją niemiecką, do ostatniego naboju, do ostatniej kropli benzyny w czołgach. Wreszcie padł rozkaz dowództwa armii o kapitulacji lub działaniu dowódców na własną rękę. Z grupy moich czołgów pozostało mi jeszcze 6 czy 7 maszyn, ale bez benzyny. Z mojego 11. dywizjonu — już tylko resztki tych, którzy ze mną wyszli na wojnę.

Widziałem przed sobą poddające się oddziały, widziałem beznadziejność naszego położenia. Dałem rozkaz do załóg unieruchomionych czołgów stojących na skraju lasu, aby wystrzelali resztki amunicji na Niemców. Potem kazałem czołgi podpalić. Niemcy rzucili na nas cały swój ogień artylerii. Nakazałem zbiórkę w głębi lasu.

Ostatnia zbiórka... Tego opisać ani opowiedzieć się nie da. Las huczy od pękających pocisków artylerii niemieckiej. Łamią się drzewa jak zapalki, wokoło świszczą odłamki granatów. Oficerowie i żołnierze formują dwuszereg. Stoją wszyscy otepiali, oniemiałi, obojętni na ogień artylerii, zrozpaczeni i bezradni. Wreszcie pada komenda:

— Dywizjon, baczność! Dywizjon na prawo patrz!

Podchodzę przed środek dywizjonu. Kpt. S. jako najstarszy zdaje mi raport:

— Panie majorze, melduję posłusznie, jedenasty dywizjon na zbiórce.

Zasalutowałem i rzekłem krótko :

— Spocznij.

Pada komenda :

— Dywizjon, spocznij !

Przy piekielnej przygrywce artylerii zacząłem mówić :

— Chłopcy ! Od pierwszego dnia wojny aż do dzisiaj biliście się bez przerwy. Biliście się w czołgach, a jak czołgów zabrakło — na piechotę. Połowy z was nie ma. Nie jesteśmy jednak pobici, wojna się jeszcze nie skończyła. Za chwilę rozwiążę dywizjon i grupkami pod dowództwem oficerów rozejdziemy się na dalsze boje do Lwowa — Warszawy. Wierzę, że przyjdzie czas, kiedy się znów skrzykniemy do pancernej gromady. Żegnam was, chłopcy, ale was żegnam słowem : do widzenia !

Tu mi się głos załamał, nie mogłem dalej mówić. Chcąc pokryć wzruszenie, zacząłem od prawego skrzydła kolejno żegnać się ze wszystkimi. Wyciągały się do mnie spracowane ręce moich chłopaków, a łzy rosily ich żołnierskie twarze.

Potem nastąpił podział na grupy, każda pod dowództwem oficera. Ja również miałem grupę z ośmiu. Gdy już wszystko było gotowe, wyszedłem przed front dywizjonu i opanowany już, przyłożyłem rękę do hełmu.

— Czołem, chłopcy !

— Czołem, panie majorze ! huknęła brać żołnierska, zagłuszając kanonadę artylerii.

Już miałem dać rozkaz “rozejść się!”, gdy nagle z lewego skrzydła odezwał się nieśmiały głos:

— Panie majorze!...

Wszyscy zwrócili głowy w tym kierunku. Z szeregu wystąpił pobladły ze wzruszenia Naskręt.

— No, mówcie, o co chodzi? — spytałem.

— Panie majorze — jękał się powoli — rozchodzimy się dziś i nie wiadomo, czy się kiedyś zbierzemy razem. Niech pan major im powie, jakim byłem żołnierzem. Niech pan major im powie, czy... czy...

Więcej nie mógł powiedzieć, jeno łzy toczyły mu się po twarzy. Płakał ten twardy, nieustraszony żołnierz, płakał jak dziecko. Wzruszenie opanowało wszystkich.

Podszedłem do niego, ucałowałem go w oba policzki...

BITWA POD SEROCZYNYEM

OPISUJĘ tę bitwę dlatego, że daje ona obraz warunków, w jakich musiały walczyć po dziesiątym września wielkie czy małe oddziały wojska polskiego.

Wskutek gwałtownych uderzeń z różnych kierunków i głębokich zagonów pancernych dywizyj niemieckich, wskutek masowych nalotów bombowców na tyły, linie komunikacyj i zaopatrzenia, została zniszczona łączność operacyjna i taktyczna wielkich i małych jednostek wojska. Dowódcy nie posiadali żadnych elementów do decyzji. Działali na wyczucie, bili się z determinacją.

Żaden żołnierz świata lepiej by się nie bił w tych warunkach.

*

Dwunastego września wieczorem otrzymałem rozkaz od dowódcy Mazowieckiej Brygady Kawalerii, aby mój dywizjon pancerny jako samodzielna kolumna przemaszerował z obszaru Radzymina przez Rembertów — do rejonu Siedlec i o świcie był na nowym miejscu postoju.

Brygada przechodziła na nowe zadania w rejon Siedlec. Pułki kawaleryjskie i 3. batalion strzelców pomaszerowały innymi drogami. Przy mojej kolumnie posuwał się dowódca brygady z częścią swego sztabu.

Cóż to był za koszmarny marsz tej nocy!

Przez pierwszych dwanaście dni wojny biliśmy się z Niemcami na północy. Nie mieliśmy pojęcia, co się dzieje w głębi kraju, gdyż żadne komunikaty ani gazety do nas nie docierały. I muszę przyznać, że w tych warunkach było to nawet lepiej. Dopiero ten przemarsz na Siedlce dał nam obraz grozy, jaka zawisła nad Polską.

Maszerowaliśmy tak zwaną "szosą strategiczną" w obszarze lasów rembertowskich. Na niebie paliły się łuny, kładąc jaskrawy odblask na przydrożne sosny, na zbiedzone twarze ludzkie, przesycając powietrze jakimś mdłym światłem, w którego mrokach kłębiła się zbita masa: ludzie, konie, samochody i wozy wypełniały w trzech czy czterech kolumnach całą szerokość szosy.

Na zachodzie palił się Grochów i Praga — przedmieścia Warszawy. Paliła się Warszawa — ukochane miasto. Za nami — luna nad Radzyminem, wsławionym w ostatniej wojnie. Gdzieś w głębi palił się Wyszaków, a przed nami gorzał już Mińsk Mazowiecki i dalej położone miejscowości...

To straszne dzieło ostatnich nalotów niemieckich. Powietrze huczało od jakichś olbrzymich detonacyj, od strzałów armatnich z pobliskich półbitewnych.

Dywizjon mój po skręceniu z szosy Radzymin—Warszawa na szosę wiodącą do Rembertowa dosłownie ugrzązł w zbitej masie różnych kolumn wojskowych oraz ludności cywilnej uchodzącej na wschód. Utworzyłem osobny oddział pieszy pod dowództwem oficerów dla robienia porządku i usu-

wania zapór na drodze naszego marszu. Mimo niesłychanych wysiłków posuwaliśmy się krok za krokiem. Często trzeba było spychać jakieś wozy do rowów przydrożnych, tracić godzinę albo więcej czasu na jednym miejscu, aby rozplątać węzeł skłębionych kolumn. Złowrogie łuny wokoło i potworne detonacje dopełniały obrazu grozy.

Godziny biegły szybko. Czas uciekał, a mój dywizjon posuwał się żółwim krokiem. Meldowałem dowódcy brygady, który jechał z nami, że w tych warunkach dywizjon nie będzie na czas w wyznaczonym rejonie.

Po kilku godzinach dobrnęliśmy do Rembertowa. Zaczynało błękitnieć, zbliżał się świt. Sił już nam zabrakło, a tu coraz częstsze zatory, coraz więcej trzeba było wysiłku, aby torować sobie drogę. Wreszcie wydostaliśmy się na szosę Warszawa — Mińsk Mazowiecki — Siedlce. Pryśły wszystkie nasze nadzieje, że przecież na tej szerokiej, nowocześniejszej szosie będzie lepiej. Droga wypełniona była jeszcze szczelniej różnymi taborami, kolumnami wojsk i ludnością cywilną. Prócz tego pełno było na niej lejów i wyrw od bomb niemieckich. Cudowi tylko należy przypisać, że bombowce niemieckie nie nadleciały tego ranka nad drogę Warszawa — Siedlce.

Po przebrnięciu Mińska Mazowieckiego stanęliśmy bezradni. O tym, żeby się przebić czy siłą utorować dalszą drogę, nie mogło być mowy.

Słońce było już wysoko. Zameldowałem dowódcy brygady, że w ten sposób nie dojedziemy nawet do wieczora na wyznaczone stanowiska. Płk. Karcz

zmarszczył brwi. Widział on cały ten beznadziejny marsz od samego początku, widział nadludzką pracę i wysiłek moich chłopców pancernych, ale był, niestety, bezradny.

Po chwili rzekł:

— Ma pan major jaką radę?

— Tak jest, panie pułkowniku — odparłem. — Chcę przerzucić dywizjon na szosę Kołbiel — Seroczyn i stamtąd na Siedlce.

Przy tych słowach podsunąłem mapę, wskazując na niej proponowaną drogę.

— A czy na tej drodze będzie lepiej, myśli pan? — spytał pułkownik.

— Myślę, panie pułkowniku, że tak beznadziejnie jak tu nie będzie, bo już gorzej nie może być. Mam tylko jedną obawę. Chcąc się dostać do tej szosy, muszę pokonać ze dwa, trzy kilometry drogi piaszczystej, a nie wiem, jaka to droga.

— No, niech pan próbuje, coś trzeba robić, nie możemy tu stać. Zgadza się na pański plan — zakończył dowódca brygady.

Zaczął się drugi etap drogi. Od szosy, do której zamierzałem dojechać, dzieliła mnie niewielka odległość, około trzech kilometrów. Aczkolwiek często bywałem w tych stronach, tej właśnie bocznej drogi, po której teraz miałem przeprowadzić dywizjon, nie znałem. Wydałem rozkazy oficerowi regulacji ruchu i dowódcom kompanii o zmianie drogi marszu. Zaczęło się mozolne wyciąganie kolumny dywizjonu z głównej szosy. Po jakimś czasie dywizjon pancerny stał wyciągnięty na nowym kierunku. Ruszyliśmy.

O ile w pierwszym etapie mieliśmy do pokonania zatłoczone szosy, o tyle teraz musieliśmy zwalczyć inny, nieprawdopodobny wprost opór drogi. Jakiś złośliwy, lotny piasek. Koła grzęzły w nim po osie. Ogarnął mnie szal, bo teraz nie można było ani zawrócić, ani iść naprzód. Zaczęliśmy holować każdy samochód przy pomocy czołgów i wynosić dosłownie na rękach cały nasz tabor samochodowy.

Przebycie tych trzech kilometrów drogi trwało kilka godzin. Żołnierze padali ze zmęczenia. Zbliżało się południe. Wreszcie wydostaliśmy się na właściwą szosę.

Istotnie, droga była prawie pusta. Mogłem teraz szybko posuwać się na Seroczyn, od którego biegła szosa do Siedlec.

Nie miałem żadnych wiadomości o nieprzyjacielu. Dywizjon posuwał się w ugrupowaniu bojowym. Pluton samochodów pancernych "Ursus" jechał jako ubezpieczenie czołowe.

Po drodze włączyłem do swego dywizjonu dwa samochody pancerne "wzór 34" z dywizjonu, zdaje się, łuckiego, które się oderwały od swego oddziału. Spotykaliśmy różne oddziały wojska, ale nie konkretnego o nieprzyjacielu dowiedzieć się nie mogłem. Około południa dojechaliśmy do Seroczyna.

Była to mała osada, pośrodku której stał murewany kościół. Przed nim coś jakby duży plac, od którego odchodziły drogi w różnych kierunkach. Zachodnim skrajem miejscowości biegła mała, lecz bagnista rzeczka. Od szosy wjazdowej do Seroczy-

na, z owego placu prowadziła pod kątem prostym szosa do Siedlec.

Ledwie pluton samochodów pancernych odjechał z Seroczyna dwa kilometry i znikł za wzniesieniem, zderzyliśmy się nieoczekiwanie z Niemcami. Mówię dlatego "nieoczekiwanie", gdyż byłem pewny, że Siedlce są w naszych rękach.

Zahuczały działa i zagrały karabiny maszynowe. Dwa samochody pancerne Niemców stanęły w płomieniach, ale i jeden z naszego plutonu został rozbity. Nasz pluton, mając tuż za sobą wzniesienie, wycofał się za tę osłonę i począł prażyć z armatek do Niemców.

Byłem wówczas na wzniesieniu. Widząc, że Niemcom nadchodzą posiłki, zawróciłem do Seroczyna, by wprowadzić do walki kompanię czołgów "T.K." i przesunąć część techniczną dywizjonu za rzekę.

Po przybyciu na plac przed kościół zastałem tylko część mojego taboru i kilka samochodów z dowództwa brygady; łącznik-motocyklista zameldował mi, że kpt. D. wraz z dowódcą szwadronu oraz płatnikiem i kilkoma samochodami gospodarczymi pojechał szosą na Łuków. Z miejsca wysłałem tegoż motocyklistę z rozkazem na piśmie, aby natychmiast wracali, po czym zwróciłem się do oficera taktycznego dywizjonu:

— Panie kapitanie! Zawrócić cały tabor i ustawić za rzeczką. Spieszyć część kierowców i funkcyjnych do obrony sprzętu. Moje stanowisko przy kościele. Wykonać!

Wysłałem łącznika - motocyklistę z rozkazem do

dowódcy kompanii czołgów "T. K.", ażeby natychmiast podciągnął czołgi pod kościół.

Ruch się zrobił gorączkowy. Wozy z placu znikły za rzeczką. Kompania czołgów, będąca na końcu kolumny, podciągała do kościoła. Tymczasem wysłałem jeszcze jednego gońca-motocyklistę z rozkazem do kpt. D., aby dołączył się do dywizjonu.

W tym czasie Niemcy nadciągnęli większymi siłami. Był to silny oddział zmotoryzowany, wyposażony w broń pancerną, artylerię, piechotę i ciężkie moździerze. Rozwinęli się do prawidłowego natarcia. Ich ciężkie granatniki i artyleria zaczęły łupić po Seroczynie, zarechotały karabiny maszynowe w szerokim promieniu.

Pluton samochodów pancernych, prażony ogniem Niemców, musiał się wycofać na skraj wsi.

Oceeniłem, że nie utrzymam się w miejscowości z tej strony rzeczki, ale postanowiłem lepiej rozpoznać przeciwnika i zmusić go do wprowadzenia i ujawnienia jego sił. Zwróciłem się do kpt. S.

— Uderzyć z kompanią czołgów na łyse wzgórze i spędzić stamtąd Niemców, po czym wrócić na stanowiska wypadowe, na skraj miejscowości.

Ruszyła kompania czołgów na wzgórze i w parę minut oczyściła je z Niemców, ale jeden czołg został trafiony pociskiem przeciwpancernym i pozostał na wzgórzu. Nie można go było wyholować, gdyż teraz Niemcy rzucili cały swój ogień artylerii i granatników na wzgórze. Kompania spłynęła na skraj miejscowości. Ogień Niemców się wzmacniał. Część zachodnia Seroczyna już się pa-

liła, a od wschodu Niemcy przeniknęli swoją piechotą do miejscowości.

Nie miałem piechoty ani artylerii. Trzeba się było ratować odejściem za rzeczkę. Wydałem kompaniom rozkazy do wycofania się na zachodnią część Seroczyna, poza rzeczkę.

Tu pozycja moja polepszyła się o tyle, że byłem do pewnego stopnia zabezpieczony dość bagnistą rzeczką od działań czołgów nieprzyjacielskich. Po wycofaniu się przystąpiłem ponownie do zorganizowania natarcia.

Spieszyłem część załogi z rzutu taborowego dywizjonu. Przy pomocy moich oficerów udało się zebrać około 50 żołnierzy i paru podoficerów piechoty, którzy z różnych rozbitych oddziałów znaleźli się w Seroczynie i w pobliskim lesie. Zorganizowałem z nich pluton piechoty i wyznaczyłem na dowódcę oficera łączności dywizjonu por. Hermana.

Jeden z podoficerów doraźnie zorganizowanego plutonu meldował mi :

— Panie majorze, w tym lesie za Seroczynem widziałem jakąś artylerię i zdaje mi się, że widziałem także oddział czołgów.

Ucieszyłem się tymi wiadomościami, bo myślałem, że jest to jakaś jednostka wojska. Zwróciłem się do kpt. B., aby skoczył samochodem do lasu i ściągnął jakieś posiłki.

Tymczasem Niemcy zajmowali Seroczyn, a raczej wschodnią jego część. Ponownie rozpoczęli ogień z moździerzy i artylerii. Dałem rozkaz porucznikowi Hermanowi :

— Panie poruczniku, zajmie pan stanowisko na prawo od mostu, nad brzegiem rzeki, wykorzystując zabudowania. Przydzielam panu dwa czołgi "T.K." jako wsparcie ogniowe.

Za chwilę pluton piechoty z dwoma czołgami odmaszerował na wyznaczone stanowisko. Porucznikowi, który objął dowództwo szwadronu samochodów pancernych po zaginionym kpt. J., wydałem rozkaz, aby częścią szwadronu dozorował szosę w rejonie mostku, a więc w samym Seroczynie, a częścią ubezpieczył dywizjon od tyłu. Kompanię czołgów "T.K." wyznaczyłem jako odwód. Zaczęła się normalna strzelanina prowokacyjna z obydwu stron, aby wybadać wzajemne pozycje i wykryć stanowiska broni ciężkiej. Kłęby dymu z palących się domów przesłaniały pole widoczności w dolinie rzeczki, co w tej chwili było mi bardzo na rękę, bo ukrywało przed okiem Niemców moje skromne siły piechoty zaciągającej pozycje nad rzeczką.

Po pół godzinie przybył kapitan B., przywożąc ze sobą podporucznika artylerii i kapitana broni pancernej Sz.

Po zameldowaniu się wymienionych oficerów spytałem kapitana:

— Pan kapitan do jakiej formacji należy?

— Ja, panie majorze, jestem dowódcą samodzielnej kompanii czołgów "T.K.S." z batalionu lwowskiego. Mam przydział do dowództwa armii gen. Przedrzymirskiego jako kompania dyspozycyjna.

— A gdzie jest w tej chwili sztab armii? — spytałem zaciekawiony, bo ja również należałem do tej armii.

— Tego nie wiem, panie majorze...

— Jakto?

— Tak jest, panie majorze, bo jeszcze się tam nie zameldowałem, nie mogąc znaleźć sztabu wskutek zmienności położenia.

— Myślę, że w tym ukropie coraz trudniej będzie panu odszukać sztab armii. Ponieważ i ja należę do oddziałów tej samej armii, przeto daję panu kapitanowi rozkaz dołączenia do mojego dywizjonu pancernego.

— Rozkaz, panie majorze. Nareszcie przestanę się tłuc po zatłoczonych szosach i zacznę moją robotę.

— To na pewno. Proszę natychmiast ściągnąć kompanię tutaj. Za godzinę rozpoczniemy natarcie.

Kpt. Sz. szybko wsiadł do samochodu i odjechał po kompanię.

Teraz z kolei spytałem porucznika artylerii. Okazało się, że były to resztki jakiejś baterii artylerii 75-tek z rozbitej jakiejś dywizji. Stali w pobliskim lesie, bez kompletnych zaprzęgów i z resztkami amunicji w jaszczach.

— Możecie nas wesprzeć? — spytałem tego oficera.

— Tak jest, panie majorze, ale krótko, bo mam tylko 30 sztuk granatów.

— A drut telefoniczny macie?

— Mamy.

— To już, panie poruczniku. Siadaj pan w motocykl i wal pan do baterii. Za godzinę musi być wszystko gotowe do natarcia.

— Rozkaz, panie majorze.

Za chwilę już odjeżdżał do swojej baterii.

Tymczasem ogień artylerii i broni ciężkiej ze strony Niemców wzmagał się coraz bardziej. Oceniałem Niemców jako silny oddział rozpoznawczy, wyposażony w broń pancerną, piechotę zmotoryzowaną, 2 działony artylerii, kilka działonów moździerzy i oddział motocyklistów. Postanowiłem wyrzucić go z Seroczyna, a co najmniej przez walkę zyskać czas do wieczora.

Tymczasem przybył z kompanią czołgów "TKS" kapitan Sz. Dałem mu rozkaz:

— Panie kapitanie, uderzy pan jednym plutonem na prawo od mostu, a drugim wzdłuż szosy i po przekroczeniu mostku — na lewo, na północny skraj miejscowości. Po opanowaniu przez naszą piechotę tego skraju wsi, koniec zadania. Zbiórka przy kościele. Gotowość natarcia: godzina 13.30. Początek natarcia na mój rozkaz.

Por. Nahorski otrzymał zadanie, aby plutonem samochodów pancernych uderzył na wprost po szosie, na plac przed kościołem i ubezpieczył natarcie reszty ze wschodnich wylotów ulic.

Pluton piechoty miał wykonać natarcie przez południową część Seroczyna i zająć północny jego skraj.

Około 13.15 obserwator artyleryjski zameldował mi, że bateria jest gotowa do wsparcia. W oznaczonym czasie rozpocząłem natarcie. Artyleria nasza

gruchnęła po wykrytych celach; piechota, brodząc po pas w wodzie, przekroczyła rzeczkę i dostała się w zabudowania południowej części Seroczyna wypierając Niemców.

Prawoskrzydłowy pluton czołgów rozwinął się, ale niestety, ugrzązł w bagnistej rzeczce.

Pluton samochodów pancernych, przejechawszy pierwszy mostek, otrzymał ogień przeciwpancerny. Czołowy samochód został rozbity.

W tym czasie Niemcy, rozporządzając przewagą sił, uderzyli ze skrzydeł. Od północy, wychodząc na moje tyły, i od południa, ruchem kleszczowym.

Na prawym skrzydle pluton piechoty por. Hermana został wyparty z zabudowań i pod osłoną ognia z czołgów wycofał się za rzeczkę. Dowódca plutonu z kilkunastoma strzelcami został jednak odcięty w zabudowaniach. Na lewym skrzydle uratował położenie kpt. B. odpierając uderzenie Niemców częścią spieszonych kierowców z taboru samochodowego i plutonem samochodów pancernych.

Położenie stawało się z minuty na minutę groźniejsze. Artylerzysta meldował mi:

— Panie majorze, amunicja się skończyła.

— Już nie macie więcej pocisków? — spytałem.

— Nie mamy.

— Wobec tego dziękuję wam w imieniu służby.

— Co mam robić z baterią, panie majorze?

Zastanowiłem się chwilę, bo sam nie wiedziałem, co począć w tej sytuacji. Po chwili rzuciłem:

— Zaraz wycofać się na Mińsk Mazowiecki, a tam się zorientujecie. Tyle mogę wam doradzić.

Podaliśmy sobie w milczeniu ręce.

Tymczasem ogień Niemców stawał się coraz silniejszy. Kilka samochodów z zaopatrzenia zostało rozbitych. Napór z północno - zachodniego kierunku groził mi otoczeniem. Postanowiłem częściami oderwać dywizjon z nierównej walki.

Resztce plutonu pieszego kazałem się wycofać i załadować na samochody. Wydałem rozkaz kapitanowi B., aby odskoczył z kolumną dywizjonu pod osłoną czołgów "TKS". Wymieniłem miejscowość z mapy, odległą około 10 kilometrów, nazwy dziś nie pamiętam, w kierunku na Stoczek. Tam mieli czekać na mnie z resztą dywizjonu.

Po pewnym czasie wydałem rozkaz do wycofania się kompanii "TKS". Straż tylną stanowiły nieśmiertelne samochody "Ursus" chorążego Wójcieszaka, przy którym się znajdowałem.

Szosa wychodząca z miejscowości była całkowicie pod ogniem moździerzy i artylerii Niemców. Toteż prali po niej, aż ziemia dudniła. Mimo to szczęśliwie udało nam się przemknąć bez dalszych strat w sprzęcie. Po połączeniu się dywizjonu nakazałem uporządkowanie pododdziałów, sprawdzenie strat i stanu benzyny w maszynach. Po pewnym czasie zeszli się dowódcy kompanii z raportami. Dywizjon ucierpiał w tej bitwie mocno. Kilka samochodów z zaopatrzenia technicznego z oficerem gospodarczym oraz dowódcą szwadronu samochodów pancernych, który przypadkowo jechał z tymi wozami, zaraz na początku bitwy oderwało się od dywizjonu, udając się na Łuków, i już nie zdążyły dołączyć się z powrotem, gdyż Niemcy przecięli im drogę. Była to bolesna strata dla

dywizjonu zarówno ze względu na dzielnych oficerów i strzelców, jak i na zaopatrzenie materiałowe, zapas benzyny bowiem znajdował się właśnie na tych samochodach. Prócz tego zostały rozbite dwa samochody pancerne "Ursus", uszkodzony mocno jeden samochód pancerny "wzór 34 Citroën" oraz rozbity jeden czołg "T.K.". Straty w ludziach: kilku zabitych strzelców i podoficerów, kilkunastu rannych oraz niewiadomy los dowódcy zaimprovizowanego plutonu piechoty. Stan benzyny — na wyczerpaniu. Żołnierze — w stanie pełnego wyczerpania, gdyż od 36 godzin bez chwili wytchnienia byli w akcji, a na skutek działań bojowych tego dnia nie jedli od rana.

Pierwszy raz na tej wojnie ogarnął mnie strach. Co począć? Co robić dalej? O tym, aby nawiązać łączność z brygadą, mowy być nie mogło. Musiałem dać choć dwie godziny wypoczynku dywizjonowi i nakarmić ludzi. A skąd otrzymać materiały pędne i smary dla maszyn? To były zagadnienia, które należało rozstrzygnąć szybko i stanowczo wobec zmieniającego się z godziny na godzinę położenia bojowego. A decyzja łatwa nie była. Wiedziałem, że choćbym nawiązał łączność z brygadą, benzyny nie dostanę, bo jej brygada nie posiadała. Od pierwszego prawie dnia wojny zaopatrywałem się "przemysłem" i sprytem oraz zapobiegliwością mojego oficera technicznego kpt. D. Wiedziałem, że w Mińsku Mazowieckim benzyny nie ma, bośmy uprzednio tam jej nie dostali. Najbliższe punkty pewnego zaopatrzenia były: Warszawa lub Dęblin, oba bardzo odległe i oddalające

mnie od brygady. Najbliższym miejscem, gdzie mogłem przewidywać otrzymanie benzyny, był Garwolin, garnizon formowania się Warszawskiej Brygady Zmotoryzowanej.

Podąłem na odprawie oficerom moją decyzję niezwłocznego marszu całym dywizjonem do Garwolina. Nie mogłem ryzykować wysłania paru samochodów po benzynę do Garwolina, a z dywizjonem czekać na miejscu, bo nauczony ostatnim przemarszem po zatłoczonych szosach i zmiennością położenia, mogłem te samochody stracić, a co najważniejsza — stracić czas. Postanowiłem trzymać w garści całość, dopóki się da.

W tym beznadziejnym położeniu pomogła mi znakomicie świeżo przybyła kompania czołgów "TKS" kapitana Sz., która nie biorąc dotychczas udziału w walkach miała cały swój zapas zarówno żywnościowy jak i benzynowy. Po częściowym uzupełnieniu zbiorników z zapasów tej kompanii ruszyliśmy do Garwolina. Po drodze spotykaliśmy grupki żołnierzy, jakieś kolumny pontonowe, tabory. W rowach przydrożnych ślady nalotów, trupy końskie, rozbite lub spalone samochody cywilne i wojskowe.

Po pewnym czasie przybyliśmy do Garwolina. Przedstawiał on podobny widok, jak wszystkie w tym czasie miasteczka polskie: częściowo spalony, pełny wozów i wojska. Zatrzymałem dywizjon na szosie, u wylotu z miasta. Nakazałem wydanie posiłku żołnierzom, w czym mi znów przyszedł z pomocą kpt. Sz. ze swoimi zapasami. Wysłałem oficerów i podoficerów na poszukiwanie materiałów

pędnych. Podałem czas odpoczynku na 2 godziny. Było to pod wieczór. Ludzie po spożyciu strawy poukładali się przy maszynach i zasnęli snem kamiennym. Wyznaczyłem pogotowie i służbę czuwania, a sam udałem się na poszukiwanie jakiejś komendy placu czy czegoś podobnego. Poszukiwania moje były bezowocne. Spotykałem oficerów z różnych formacyj, ale nikt nie mógł dać mi potrzebnych informacji. Każdy dawał mi jakieś domniemane, niepewne przypuszczenia, w tym mniej więcej sensie: "słyszałem, że podobno Niemcy zajęli Dęblin" — albo: "Podobno Lublin został zdobyty" itp. Rugnąłem kilku panikarzy i zniechęcony wracałem do dywizjonu. Koło koszar zauważyłem samochód osobowy i grupkę oficerów stojącą obok. Zatrzymałem swój samochód i podszedłem do rozmawiających.

Jak się okazało, był to oficer w stopniu majora jadący ze Sztabu Naczelnego Wodza z rozkazami do jednostek. Rozpytywał się o drogę i położenie. Wtrąciłem się do rozmowy. Po wymienieniu kilku informacji obustronnych dowiedziałem się wreszcie o ogólnym położeniu w kraju. Prócz tego oficer ten wskazał mi kierunek działań Mazowieckiej Brygady kawalerii, na Włodawę. Była to dla mnie przypadkowa, lecz bardzo cenna wiadomość, gdyż dawała elementy do dalszej decyzji w związku z położeniem, w jakim się znajdowałem.

Po przybyciu do dywizjonu otrzymałem meldunki od oficerów, którzy poszukiwali w okolicy materiałów pędnych, że niestety, niczego nie znaleźli. Zagadnienie zaopatrzenia dywizjonu w materiały

pędne przesądziło dalszą decyzję: pewność zaopatrzenia dywizjonu dawał jedynie Dęblin. Stamtąd też postanowiłem szukać łączności z brygadą według otrzymanych wskazówek. Zarządziłem zbiórkę oficerów, podałem im moją decyzję i nakazałem pogotowie marszowe. Zapadał wieczór, gdy dywizjon wyruszył do Dęblina.

Szosa: Garwolin — Dęblin była prawie pusta, ale po rowach przydrożnych pełno było porozbijanych wozów taborowych, porozrzucanych jakichś skrzyń, mnóstwo zabitych koni, a tu i ówdzie ledwo trzymające się na nogach i słaniające się jak mary, dogorywające ranne koniska. Od czasu do czasu mijaliśmy grupki taborów konnych i luźne oddziały wojska.

Po przebyciu około 10 kilometrów, niedaleko wsi Gończyce, zatrzymałem dywizjon, gdyż jadące przed nami jakieś tabory konne zaczęły w panice uciekać wprost w pole. Usłyszeliśmy strzały z karabinów maszynowych. W parę minut szosa zupełnie opustoszała. Zdołałem zatrzymać jakąś grupkę żołnierzy piechoty i od nich się dowiedziałem, że w lesie koło Gończyc i w Gończycach na jadący tabor wpadł oddział zmotoryzowany Niemców.

Przyszedłem do wniosku, że jest to ten sam oddział niemiecki, z którym bił się przed paru godzinami w Seroczynie 11. dywizjon. Widoczną było rzeczą, że szosą przez Żelechów podążał on teraz na Dęblin. Nie miałem wyboru, trzeba się było przebić przez ten oddział. Na krótkiej odprawie wydałem rozkazy:

— Dywizjon musi się przebić na Dęblin. W tym celu wyznaczam : chor. Wojcieszak z plutonem samochodów pancernych "Ursus" jako pluton czołowy. Za nim w odległości 300 metrów cały dywizjon w następującej kolejności: pluton samochodów pancernych porucznika Nahorskiego, kompania czołgów "TK", kolumna samochodów dywizjonu. Straż tylna: kompania "TKS". Ja, w samochodzie pancernym "wzór 34 Citroën", między plutonem czołowym a czołem kolumny. Po przebicciu się zatrzymanie dywizjonu ureguluję osobiście. Wyruszenie — na mój rozkaz. Wykonać!

Nastąpiło małe tylko przegrupowanie, gdyż maszerowaliśmy prawie w tym samym porządku. Tymczasem Niemcy zaczęli po nas kropić, odezwały się moździerze i artyleria. W zapadającym zmroku wyraźnie rysowała się linia ognia Niemców, a świecące pociski jak roje świętojańskich robaczek leciały w naszym kierunku.

Nie odpowiadaliśmy Niemcom, gdyż chciałem ich zaskoczyć szybkim uderzeniem. Po paru minutach wszystko było gotowe. Dałem rozkaz:

— Panie chorąży! Marsz!... Marsz!... I ognia!

Był to sygnał dla całego dywizjonu. Błysnęły lufy naszych armatek i karabinów maszynowych. Chor. Wojcieszak z właściwym sobie rozpędem ruszył na Niemców. Jechałem za nim w wozie pancernym "wz. 34 Citroën" w odległości około 200 metrów. Widziałem, jak pociski moździerzy wybuchaly na szosie. Po pancerzu mojego samochodu bębniły pociski karabinowe. Dawałem strzały z armatki do błyskających celów. Nagle poczułem



potężny wstrząs, uderzyłem hełmem i plecami o pancerz wieżyczki. Przykładam oczy do szczelin obserwacyjnych i nic nie widzę prócz dymu, ale czuję, że stoimy. Walę nogą w plecy mego kierowcę i krzyczę:

— Co się stało, do cholery, czemu stoisz?

Słyszę odpowiedź:

— Ja nie pojadę, panie majorze.

Aż mnie zatkało, a tu słyszę dalej:

— Panie majorze, zostaliśmy trafieni w przód maszyny, palimy się.

Oprzytomniałem w jednej chwili. Sięgnąłem ręką ku tyłowi, aby otworzyć stalowe drzwiczki wyjściowe i teraz dopiero spostrzegłem, że są one rozwarte na całą szerokość w następstwie potężnego wstrząsu. Samochód stał w płomieniach, przechylony mocno na bok, trafiony pociskiem armatnim w przód maszyny. Wtedy rzuciłem kierowcy:

— Wiejmy, bracie!

Wyskoczyliśmy z płonącej maszyny do przydrożnego rowu. Niemcy prażyli ogniem do palącego się samochodu z odległości 100-150 metrów z lasu położonego z lewej strony szosy. Na szczęście, szosa w tym miejscu biegła po dość wysokim nasypie, dającym ochronę od pocisków mnie i mojemu kierowcy. Znalazłem się w położeniu niewesołym. Było już ciemno, naprzeciw, o kilkadziesiąt metrów, Niemcy piorą po szosie, że nosa nie można wystawić, a ja tu tylko z pistoletem w rękę (kierowca mój nie miał żadnego uzbrojenia). Zaczęliśmy się posuwać rowem naprzód. Po chwili przemknęło dwóch motocyklistów na pełnym ga-

zie. Za nimi przeszły wozy pancerne por. Nahorskiego ziejąc ogniem na Niemców. Przyśpieszyliśmy kroku, biegnąc pochyleni w rowie, aby wyjść z ogniska bitwy. Czekałem na kolumnę dywizjonu mając nadzieję, że mnie poznają i zabiorą. W tym czasie usłyszałem pędzący motocykl. Pociski, świecąc, jak złote osy latały nad szosą. Wskoczyłem z rowu i zacząłem wymachiwać rękami i krzyczeć z całej siły: stój! stój! Widziałem przestрах łącznika-motocyklisty, który przyhamował. Skoczyłem na siodełko z tyłu i krzyknąłem: gazu! Pędziliśmy jak szatani wśród złotego deszczu pocisków. Wreszcie wyjechaliśmy z ognia i po chwili przybyliśmy do jakiejś chałupy, przy której stały nasze samochody pancerne.

Zeskoczyłem z motocykla, witany głośnymi okrzykami moich chłopców, którzy widząc mój samochód pancerny rozbity i spalony myśleli, że już po mnie.

W tym czasie nadjeżdżały czołgi i kolumna dywizjonu. Wysłałem jeszcze raz pluton chor. Wojcieszaka, aby nie pozwolić Niemcom wydostać się na szosę, a prócz tego wysłałem motocykl po mojego zucha-kierowcę, który pozostał gdzieś w rowie.

Niemcy nie próbowali wyjść na szosę. Cofnęli się podpaliwszy jakieś stogi i zabudowania. W ten sposób udało nam się przebić i powstrzymać chwilowo dalszy ruch Niemców na Dęblin.

O północy byliśmy w Dęblinie.

Z WARSZAWSKĄ BRYGADĄ PANCERNO-MOTOROWĄ

POWOLI budził się świt 14 września, przebijając się przez gęstą mgłę otulającą ziemię. 11. dywizjon pancerny przyśpieszał swój ruch, aby przed opadnięciem mgieł znaleźć się w okolicy Lublina już na postoju, ukryty przed obserwacją lotniczą. Tymczasem w górze warczały złowieszczo niemieckie Heinckle. Słońce podnosiło się coraz wyżej i odkrywało cele na ziemi, jakby w przymierzu z wrogiem.

Już rozlegały się pierwsze wybuchy pękających w Lublinie bomb, kiedy dywizjon dojeżdżał do rzadkiego lasu, położonego na jednym z krańców miasta. W tym lasu postanowiłem przejść na postój i dać wytchnąć ludziom, którzy byli u kresu sił. Po zaparkowaniu maszyn i ukończeniu maskowania przed obserwacją z góry oraz po wydaniu niezbędnych rozkazów odnośnie bezpieczeństwa, czasu i sposobu wydawania strawy dywizjon przeszedł na zasłużony i bodaj pierwszy od początku wojny odpoczynek. Toteż nie minęło pięć minut od ukończenia ostatnich czynności, a już wszyscy spali kamiennym snem, obok swoich maszyn.

Niemcy przylecieli nad nasz las, krążyli czas jakiś nad nami, rzucili kilka bomb lżejszego kalibru na wszelki wypadek i odlecieli nad miasto. O

godzinie 14 zarządzony był obiad. Służba inspekcyjna nie mogła się dobudzić żołnierzy. Po spożyciu posiłku wrócił pancernym humor. Zaczęło się teraz ogólne mycie i golenie. Z pobliskich domów przybiegły dziewczęta z kubłami wody, z pożywieniem i owocami. Rozległy się wesołe śmiechy i żarty. Życie i młodość miały swoje prawa. Na małej polance, między ukrytymi samochodami, zebrała się gromada pancernych, rozległy się skoczne tony harmonijki-acordeonu i wesołe pokrzykiwania.

Pośrodku utworzonego z widzów koła, pod skoczne tony harmonii, tańczył z komicznymi gestami jeden z żołnierzy, przebrany w świeżą bieleznię. Brać pancerna pokładała się ze śmiechu, podniecając tancerza przyśpiewkami i klaskaniem w dłonie pod takt melodii.

Za chwilę nowy numer zaimprovizowanego programu: chóralne śpiewy żołnierskie. "Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...", "O mój rozmarynie", "Gdy czołgi jadą..." itd. Coraz więcej przybywało widzów, coraz głośniejsze rozbrzmiewał las.

Znowu inny numer. To właściciel harmonijki solo zaczął wyśpiewywać:

*Jaguś, moja Jaguś, Tyś nie była moją,
Ale bym Cię chętnie za swą żonkę pojął.*

Oj dana.

*Gdybyś była moja, kupiłbym Ci
skrzypce,*

Ale żeś nie moja, zagraj se na...

Oj dana.

Nagle zawarczały nisko niemieckie Dornieri. Rozległy się gwizdki i rozkazy:

— Przy maszynach — zbiórka!

Czas był zrestą na rozpoczęcie za dnia przygotowania czołgów i samochodów pancernych do pełnej gotowości bojowej. Zabrano się ochoczo do naprawy uszkodzeń i smarowania maszyn. Wysłałem paru oficerów do Lublina, aby odszukali intendenturę w celu zaopatrzenia dywizjonu w żywność i papierosy, których nam brakowało. Pod wieczór powrócili, przywożąc nie tylko potrzebne zapasy, ale ku mojej i całego dywizjonu radości także por. Hermana i kilku pancernych, którzy zostali odcięci podczas natarcia na Seroczyn.

Stanął przede mną w podartym mundurze, zaoszczędzony i zmizerowany i meldował mi:

— Panie majorze, melduję posłusznie, stan plutonu: jeden oficer, dwóch podoficerów i 2 strzelców; dołączyliśmy do dywizjonu.

Stojący obok w szeregu podoficerowie i strzelcy pancerni wyglądali podobnie do porucznika. Znać było po nich ostatnie przejścia; widziałem jak drżeli ze wzruszenia i radości. Powitałem ich serdecznie, po czym podoficerów i strzelców odesłałem do kompanii, gdzie ich gorąco przyjęto. A por. Herman meldował mi o szczegółach swych ostatnich przejść:

— Panie majorze — mówił porucznik — gdy zaczęło się natarcie pod Seroczynem, mój pluton przekroczył rzeczkę i dopadł zabudowań. W opłotkach i ulicach utraciłem łączność z prawoskrzydłowymi drużynami. Wiedziałem jednak, że wszyscy znają zadanie, przeto z drużyną lewoskrzydłową parłem naprzód, wypierając Niemców. Byłem

już po drugiej stronie placu, kiedy się zorientowałem, że Niemcy przeszli do przeciwuderzenia i że ja z kilkoma ludźmi jestem odcięty od dywizjonu. Przekradając się między budynkami, wydostaliśmy się na północny skraj Seroczyna. Niedaleko nas stała kolumna samochodów i stanowiska moździerzy Niemców. Podkradliśmy się bliżej i kropnęliśmy po nich z karabinów. Powstała u nich panika, poczęli uciekać do samochodów, zrobił się tumult i zamieszanie. Wtedy i my postanowiliśmy wiać. Miałem przy sobie dwu podoficerów i ośmiu strzelców, z czego kilku było rannych. Pozostał mi jedyny kierunek wolny od nieprzyjaciela: na południe, na Dęblin. Zaraz w następnej wsi pozostawiłem na opiece gospodarzy moich rannych, a z resztą ludzi nocą podążyliśmy na chłopskich furkach do Dębłina. Tam dowiedziałem się o dywizjonie naszym, no i szczęśliwie odszukałem go tutaj.

— Zuch z pana, poruczniku! — rzekłem i po serdecznym ucałowaniu oddałem go w opiekę kolegom, którzy nań oczekiwali.

Sam z kapitanem B. i łącznikami udałem się do Lublina, by zameldować się u dowódcy korpusu i otrzymać informacje.

Lublin przedstawiał straszny obraz zniszczenia. Środek miasta, na Krakowskim Przedmieściu, zawalony gruzami z porozbijanych domów. Wokoło siedziby dowództwa korpusu zniszczone i zawalone budynki. Stare miasto ucierpiało najwięcej.

W sztabie korpusu zastałem paru oficerów, którzy niczego konkretnego powiedzieć mi nie mogli.

Dowódca korpusu nie było, musiałem przeto czekać na jego powrót. Spotkałem tam kolegę, który też niewielu udzielił mi informacji. Późnym wieczorem przybył dowódca O.K. Lublin. Zameldowałem, że z dywizjonem pancernym stoję w rejonie Lublina i że podążam na Włodawę, do Mazowieckiej Brygady Kawalerii. Dowódca korpusu zadzwonił do dowódcy armii, gen. Piskora. Po rozmowie telefonicznej zwrócił się do mnie ze słowami:

— Dam panu majorowi łącznika, który wskaże panu drogę do sztabu armii. Z rozkazu dowódcy armii, ma się pan tam niezwłocznie zameldować.

Sztab armii stał w jakimś małym folwarczku, około 6 kilometrów za Lublinem. Po przybyciu na miejsce zostałem wprowadzony przez oficera dyżurnego do ogromnego pokoju, gdzie zastałem sporo oficerów różnych stopni, czekających na rozkazy. Wśród nich było wielu moich dobrych znajomych. Przywitałem się z tym i owym, rzuciłem kilka pytań i odpowiedzi i spostrzegłem siedzącego pod ścianą ppłk. dypl. Wzacnego. Był to mój kolega, z którym przez trzy ostatnie lata przed wojną byliśmy wykładowcami w Rembertowie. Ucieszony spotkaniem, podszedłem do niego z wyciągniętą dłonią, ale nie zdążyłem się przywitać, gdyż zostałem wezwany do dowódcy armii.

Wszedłem do następnego pokoju. Pośrodku stał duży stół, na którym były rozpostarte mapy z wyrysowaną na nich sytuacją ogólną i szczegółową. Przy owym stole stał gen. Piskor, z boku siedział

szeft sztabu armii. W pokoju było jeszcze kilku wyższych oficerów.

Stałem na baczność i melduję:

— Panie generale, melduję pczłuszenie przybycie na rozkaz.

Generał podszedł do mnie z wyciągniętą ręką i rzekł:

— Z nieba mi pan spada, panie majorze. Jaki pan ma oddział?

— Panie generale, 11. dywizjon pancerny ze składu Mazowieckiej Brygady Kawalerii.

— To dobrze, przechodzi pan pod moje rozkazy. Podporządkowuję panu całą broń pancerną mojej armii i zaraz pan otrzyma zadanie.

Byłem tym zaskoczony. Wybąknąłem tylko:

— Rozkaz, panie generale.

Podszedłem do dużego stołu, do którego prowadził mnie generał.

— Otóż wprowadzę pana majora w położenie ogólne i szczegółowe — rzekł generał. Przy tych słowach pochylił się nad mapą i wskazał mi linię stanowisk 39. dywizji piechoty, Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej oraz grupy płk. Sikorskiego, a następnie linie Niemców.

— W rejonie Jarosławia — mówił dalej generał — przedarła się na nasze tyły niemiecka grupa pancerna i zajęła Zamość. Od północy zmotoryzowane kolumny nieprzyjacielskie dochodzą do rzeki Wieprz. Niemcy przekroczyli Wisłę w trzech miejscach: pod Józefowem, pod Annopolem i pod Kamieniem. Pod Annopolem przeciwnacierała Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa. Wyni-

ku jeszcze nie znam. Pod Kamieniem batalion broniący odszedł na lasy Opola. Opole w rękach Niemców. Chcę się osłonić od Zamościa, Warszawską Brygadą Panc.-Mot. wyrzucić Niemców za Wisłę, po czym od południa uderzyć na skrzydło nieprzyjaciela nacierającego na grupę płk. Sikorskiego. W tym celu pan major z podporządkowanymi panu oddziałami pancernymi wyruszy niezwłocznie, aby o świcie uchwycić Piaski Luterskie i Jabłonkę. Stamtąd przez Krasnystaw rozpoznać na Zamość, osłaniając główne kierunki na Lublin. W razie naporu z kierunku Krasnegostawu na Piaski wysadzi pan major mosty pod Piaskami. Dodaje panu pluton saperów zmotoryzowanych.

Słuchałem uważnie, aby się wczuć w nowe położenie.

Generał mówił dalej :

— Muszę mieć jutrzejszy dzień zapewniony z tych kierunków. Rozumie pan major zadanie?

— Rozumiem, panie generale, ale gdyby pan generał dodał mi ze dwie kompanie piechoty i jedną baterię artylerii, wówczas mógłbym uderzyć wprost na Zamość.

— Ani piechoty, ani artylerii panu nie dam, bo mam wszystko zaangażowane w walce. Musi pan swoimi środkami dać sobie radę.

Do rozmowy wtrącił się płk. Z.

— Tak to jest, panie majorze, mało mamy wojska, niestety...

Zapanowało milczenie. Po chwili dodał :

— Myślę, że pan generał tak szczegółowo wydał

panu rozkaz, że go na piśmie nie trzeba potwierdzać.

— Panie pułkowniku — odparłem — dla pamięci i historii proszę jednak o krótki rozkaz na piśmie, że przechodzę pod rozkazy pana generała, oraz o krótką treść zadania.

Roześmieli się wszyscy, a płk. Z. napisał odręcznie taki rozkaz i dał generałowi do podpisu. Generał po podpisaniu wręczył mi ów rozkaz i spytał:

— Ma pan jeszcze jakie wątpliwości?

— Tak jest, panie generale; nie wiem, jakie oddziały pancerne zostały mi podporządkowane i gdzie się one znajdują.

— Słusznie.

— Panie pułkowniku — zwrócił się generał do szefa sztabu — proszę dać panu majorowi potrzebne dane.

— A pan — zwrócił się do mnie — musi się bardzo śpieszyć, żeby zdążyć. Czasu jest mało.

— Rozkaz, panie generale.

Generał podał mi rękę na znak, że odprawa była skończona.

Ze sztabu otrzymałem potrzebne dane co do podporządkowanych mi oddziałów pancernych i ich miejsc postoju. Wynikało z tego, że w skład mojej grupy wchodziły: mój 11. dywizjon pancerny z samodzielną kompanią czołgów "TKS" kapitana Sz. (batalion Lwów), wileński dywizjon pancerny, około dwóch kompanij czołgów "7.T.P." (z trzeciego batalionu, Warszawa), kompania czołgów "Vickers" i "TKS" będąca w Warszawskiej Bry-

gadzie Pancерnej oraz pluton zmotoryzowany saperów.

Okazało się, że z wyjątkiem mego dywizjonu i plutonu saperów zmotoryzowanych nie mogę żadnego z tych oddziałów zaraz zabrać do działań: miejsca postoju tych oddziałów były tak odległe, że wyciągnięcie oddziałów w ciągu nocy opóźniłoby wykonanie zadania, czołgi "7.T.P." zaś były dopiero w marszu, zawrócone na rozkaz gen. Piskora, i kiedy miały przybyć, nikt mi tego określić nie był w możności. Co robić? Pozostawał w tej chwili tylko mój dywizjon i nie było innej rady.

Pośpiesznie odjechałem do swego miejsca postoju. Było już późno, bo około godz. 11.30 w nocy. Oficerowi służbowemu kazałem zaalarmować pododdziały i zwołać oficerów na odprawę.

Zapoznałem wszystkich z położeniem oraz zadaniem i w związku z tym wyznaczyłem dowódców i zadania:

kapitana Sz. z kompanią czołgów "TKS": opanować do świtu miejscowość Jabłonna oraz rozpoznawać na Żółkiewkę, nawiązać łączność do odwodu, który stać będzie w dużym trójkątnym lesie między Jabłonną a Piaskami,

por. Nahorskiego ze szwadronem samochodów pancernych i plutonem saperów zmotoryzowanych — opanować do świtu miejscowość Piaski Luterskie, po czym rozpoznawać na Krasnystaw — Zamość,

kapitanowi S. z kompanią czołgów "T.K." — przejść do odwodu; miejsce postoju: trójkątny las między Piaskami a Jabłonną.

Moje miejsce miało się znajdować w miejscowości Piaski Luterskie, przy szwadronie samochodów pancernych.

Poleciłem dowódcy plutonu łączności por. Hermanowi zorganizowanie łączności z odwodem. Pogotowie marszowe wyznaczyłem na godz. 1.30 w nocy. Prócz tego pozostawiłem w Lublinie oficera do odszukania czołgów "7.T.P." i skierowania do odwrotu zarówno ich jak też innych odnalezionych w czasie nocy oddziałów pancernych podporządkowanych moim rozkazom.

Dywizjon odpoczywał tylko kilka godzin; znów rozpoczął się nowy rozdział naszych walk.

O godzinie 1.30 w nocy dywizjon ruszył na nowe zadanie. Dołączył do nas również pluton zmotoryzowanych saperów. Przed świtem zajęliśmy Piaski Luterskie. Saperzy przystąpili do minowania mostu. Pluton samochodów pancernych z trzema motocyklistami wysłałem jako podjazd na Krasnystaw i Zamość. Od świtu przeprowadziłem zwiad terenu, ustaliłem kierunki użycia odwodu na wypadek zagrożenia itd. W godzinach rannych przybyły czołgi "7 T. P." z trzeciego batalionu pancernego wraz z całym taborem batalionu.

Po otrzymaniu meldunków od kpt. Sz. o zajęciu miejscowości Jabłonna i od podjazdu, że przekroczyli Krasnystaw i rozpoznają na Zamość bez styczności z nieprzyjacielem, udałem się około godziny 8 do sztabu armii z meldunkiem, zabierając jednego z oficerów, którego zamierzałem pozostawić jako łącznika. Niestety, sztab armii opuścił swoje miejsce postoju w nocy o godzinie 4 i nie

wiadomo było, w jakim się udał kierunku. Napisałem meldunek sytuacyjny i wysłałem oficera na poszukiwanie sztabu w kierunku na Kraśnik, według informacji otrzymanych od jednego z oficerów dowództwa korpusu Lublin. Dowództwa tego również nie było już w mieście. Niemcy, jak co dnia, bombardowali Lublin z powietrza. Wojska prawie nie widziałem, natomiast na krańcach miasta spotkałem saperów stawiających barykady i zapory w ulicach wylotowych na Piaski i Kraśnik.

Wyjeżdżając zawiadomiłem oficera saperów, że w stronę Piasków i Kraśnika udały się moje oddziały.

W ciągu dnia panował w okolicach dozorowanych przeze mnie względny spokój. Niepokoiły nas trochę samoloty Niemców, tu i ówdzie rzucając bomby. Otrzymałem meldunki od podjazdu, między innymi i ten, że za Krasnymstawem natknęli się na rozpoznanie pancerne Niemców, które przepędzili, rozbijając im jeden samochód pancerny lekki.

Zbliżał się wieczór. Nie miałem żadnej łączności ze sztabem armii, dla której pracowałem. Mój oficer łącznikowy również nie wracał. Zmieniłem podjazd pracujący od rana, a nowemu kazałem rozpoznawać na krótszej przestrzeni. Wreszcie o godzinie 19 przybył mój łącznik, przywożąc rozkaz pisemny — podpisany przez gen. Piskora — który brzmiał: odpalić most pod Piaskami; z dywizjonem przejść przez Lublin i dołączyć do Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej drogą przez Kraśnik — Janów Lubelski — Frampol — Rudka.

Wydałem rozkazy do złożenia kolumny i po wycofaniu podjazdu z osi rozpoznania kazałem saperom odpalić most. Z hukiem wyleciał on w powietrze — piękny, nowoczesny, świeżo zbudowany z żelbetu i dopiero w tym roku oddany do użytku. Co było robić? Rozkaz, wojna...

Ruszyliśmy znów po zatłoczonych szosach. W następnym dniu dołączyłem do brygady. Było to w lesie na południo-zachód od Janowa.

Janów Lubelski był zupełnie zniszczony i spalony ostatnimi nalotami bombowców niemieckich. Wśród zgliszcz widniał jedynie, również mocno uszkodzony, kościół czy klasztor, wokół ruiny domów i las sterczących kominów z pogorzelsk. Na tym postoju po zameldowaniu się u dowódcy brygady płka dypl. Rowckiego zostałem wprowadzony w położenie.

— Został pan wyznaczony jako dowódca oddziału wypadowego do Lwowa, po benzynę — mówił dowódca brygady. Musi sobie pan major tak złożyć oddział czołgowy i samochodowy, aby móc zabrać maksimum materiałów pędnych dla nas, a z drugiej strony tak silny, aby móc się przebić przez Niemców, ewentualnie obronić w razie potrzeby. Zadanie jest bardzo trudne, bo pod Lworem jest już część dywizji pancernej Niemców, a i stąd wyjście nie jest łatwe.

— Rozkaz, panie pułkowniku, zdaję sobie sprawę z ważności zadania — odrzekłem.

— Ile według pańskich obliczeń zajęłoby czasu, nim by pan wrócił z benzyną? — spytał pułkownik.

Zastanowiłem się chwilę i po bardzo optymistycznym obliczeniu zameldowałem :

— Dwie doby, panie pułkowniku.

— O, to trochę dużo. Ale dobrze, niech pan będzie na to nastawiony.

Po czym pułkownik zapoznał mnie z zadaniem Warszawskiej Brygady :

— Brygada ma zdobyć rejon Tomaszów i utrować drogę dla wycofujących się oddziałów armii gen. Piskora. W związku z tym przydzielam pańskie zgrupowanie pancerne, t. j. 11. dywizjon, wileński dywizjon, 22 czołgi "7. T. P." i kompanię kapitana Sz. do wsparcia kolumny bocznej. Dowódcą kolumny jest ppłk. Wzacny. Skład : 1, pułk strzelców pieszych, bateria 75-tek, pańskie zgrupowanie pancerne, dwie baterie przeciwlotnicze 40 mm i kompania armatek przeciwpancernych. Droga marszu : Frampol — Biłgoraj — Józefów — Tomaszów.

Po otrzymaniu rozkazów zameldowałem się u ppłk. Wzacnego. Właśnie się wybierał swoim samochodem dla wydania rozkazów oddziałom stojącym w lesie na południe od miejscowości Krzemień. Śpieszył się bardzo, bo czas naglił. Rzucił mi tylko : dołącz do płka Zielińskiego, potem pogadamy... I odjechał.

Niewiele brakowało, a pułkownik byłby z tej drogi nie wrócił żywy. Szeroki trakt janowski, z rzadka wysadzany topolami, biegł w połaci odkrytego terenu. Wzdłuż, po obu stronach traktu, w odległości od kilkudziesięciu do kilkuset metrów rozpościerały się lasy, w których stała Warszaw-

ska Brygada. Trakt widoczny był niby na dłoni, zarówno z powietrza jak też z brzegów lasu. Gdy płk. Wzacny znalazł się w drodze powrotnej na tym odcinku, nadleciało 9 czy 10 bombowców niemieckich. Niemcy lecieli dość nisko. Zauważywszy 2 samochody na pustym trakcie, zaczęli dosłownie na nie polować. Rozległy się głośne wybuchy bomb i suchy terkot karabinów maszynowych. Zdawało się, że nie już ich nie uratuje. Tymczasem samochody, zwiększając szybkość, jechały wciąż dalej, zasypywane gradem pocisków różnego rodzaju. Niemcy wyrzuli cały swój ładunek bombowy, aż w końcu samochody stanęły. No! żywa dusza w nich nie pozostała! — myślano. Tymczasem otwierając się drzwi jednego samochodu i wysiada z niego nie tknięty ppłk. Wzacny i jeszcze jeden z jego oficerów. Z drugiego wychodzi oficer lekko utykając. Trójka ta, człapiąc po błocie, ruszyła w kierunku lasu. Zrobił się ruch, posłano pomoc sanitarną z oddziałów brygady. Na miejscu okazało się, że samochody były podziurawione w paru miejscach odłamkami bomb, opony poprzebijane. Szofer ppłka Wzacnego został zabity, jeden z oficerów ranny w nogę. Powitaliśmy podpułkownika serdecznie, dziękując mu zarazem za to, że ładunek bomb, przeznaczony dla nas, został tak pięknie zmarnowany dzięki niemu.

Wkrótce potem ruszyliśmy jako kolumna boczna. Marsz ten po rozmięklej drodze był jednym łańcuchem zatorów, wreszcie o świcie dnia 17 września minęliśmy miejscowość Zwierzyniec — Rudka. W rejonie lasów Józefowa przeszliśmy na

postój. Późnym wieczorem przybył dowódca Brygady i wydał rozkazy. Zadanie Warszawskiej Brygady nie zmieniło się, uległo jeno pewnej zwłoce. Dowódcy armii chodziło o to, aby grupa płka Sikorskiego i oddziały gen. Szylinga, bijące się nad rzeką Tanew, wykorzystały wyłom, jaki Warszawska Brygada miała zrobić pod Tomaszowem. Jednocześnie miała z nami nacierać 5. brygada kawalerii w kierunku na lasy Rohanie.

Zamierzonej wyprawy po benzynę do Lwowa poniechano ze względu na szybko zmieniające się położenie, ale wobec katastrofalnego braku materiałów pędnych dowódca armii zdecydował: zlać wszystką benzynę ze zbiorników samochodów taborowych, wozów pomocniczych, a nawet technicznych, jak warsztaty, radiostacje itd. Zapasem tym uzupełnić maszyny bojowe, przede wszystkim czołgi, samochody zaś pozbawione benzyny zniszczyć.

W ten sposób uzyskało się benzynę dla sprzętu bojowego na dalsze 60—70 kilometrów.

Była to tragiczna chwila dla żołnierzy brygady i moich czołgistów. Setki wozów smutnie kończyły swoją służbę, setki wozów poszły z dymem dla uzyskania benzyny, aby przedłużyć życie wozom bojowym.

Wobec tego, że znaleźliśmy się na drogach piaszczystych, w terenie niesłychanie ciężkim, w którym kołowe samochody pancerne, szczególnie typu "Ursus", pracować nie mogły, po dociągnięciu ich z trudem do Zwierzyńca, gdzie pełniły służbę ubezpieczenia, los ich okazał się przesądzony. Zbiegło

się to z rozkazem o niszczeniu sprzętu motorowego. Zapadł wyrok śmierci także na samochody pancerne "Ursus". Poszły z dymem wśród kanonady pękających pocisków znajdujących się w ich płonącym wnętrzu.

Tak skończył swą służbę szwadron samochodów pancernych "Ursus" 11. dywizjonu. Sprzęt ten, aczkolwiek nieświeży, w rękach żołnierzy szwadronu pancernego służył nam wiernie i nieraz dał się we znaki wrogowi. Zasłużył na miano "Ursusów"...

W ciągu nocy z 17. na 18. nastąpiło przesunięcie zgrupowania ppłka Wzacnego do rejonu lasów na wschód od miejscowości Józefów. Spotkaliśmy tam oddziały 6. dywizji piechoty gen. Monda zajmujące nowe pozycje. 11. dywizjon pancerny został wysunięty nieco w przód, do lasu Józefówek, celem wsparcia oddziałów ubezpieczających.

Według wiadomości zebranych z rozpoznań i od ludności cywilnej wynikało, że Niemcy umocnili się na linii miejscowości Ulów — Zawadki, że w lesie Tomaszów i w miejscowości Pasieki są silne okopy i umocnienia.

Dzień minął na przygotowaniach do natarcia. W następstwie spalenia sprzętu motorowego pozostało w moim zgrupowaniu dużo podoficerów i żołnierzy bez sprzętu. Utworzyłem z nich kompanię piechoty pancernej i wyznaczyłem na jej dowódcę por. Hermana, oficera łączności dywizjonu. Oddałem ją do dyspozycji ppłka Wzacnego, który przydzielił do niej również jeszcze nieco swoich ludzi. Była to silna kompania, bo licząca przeszło 120

wyborowego żołnierza. Około godz. 21 przybył oficer ze sztabu brygady, który podał rozkazy do jutrzejszego natarcia, a mianowicie: początek natarcia o świcie, natarcie brygady zbieżne. Zadanie: zgrupowanie ppłk. Wzacnego ma zdobyć i utrzymać las Tomaszów. Zgrupowanie północne brygady ma uderzyć przez m. Szara Wola — Rogoźno i opanować Tomaszów od północo-zachodu. Na południe od Warszawskiej Brygady naciera 5. brygada kawalerii i oddziały z armii gen. Szylinga, na lasy położone na południe od m. Rohanie.

Zaraz potem nastąpiła odprawa u ppłk. Wzacnego. Czołgi pod moimi rozkazami miały wspierać natarcie następująco: kompanie "TKS" i "TK" wzdłuż traktu Józefów — Tomaszów, czołgi "7TP" zaś wprowadzą piechotę na stanowiska Niemców w miejscowości Pasieki, potem uderzą od południa na Tomaszów. Gotowość natarcia: godzina 7 rano.

Noc minęła spokojnie. W ciągu nocy oddziały podciągnęły do podstaw wyjściowych do natarcia. Teren był niesłychanie trudny, piachy i góry, ale wszystko odbyło się w oznaczonym czasie. Około godziny 4 ppłk. Wzacny wydał w terenie ostatnie wskazówki co do kierunku natarcia oraz ustalił sygnał do wyruszenia natarcia, a mianowicie rozpoczęcie ognia własnej baterii artylerii.

Zbliżał się świt. Widocznie Niemcy zauważyli nasze przygotowania, bo rozpoczęli ogień z artylerii i moździerzy, a także z ciężkich karabinów maszynowych na nasze stanowiska.

Wszystko było gotowe. Żołnierze czekali na sygnał do natarcia. Wyczuwało się atmosferę pełną

napięcia, które za chwilę miało się wyładować.

Nastawiłem swoje czołgi według otrzymanych rozkazów: 22 lekkie czołgi "7.T.P." na stanowiskach wyjściowych, gotowe do skoku. Wydaje ostatnie rozkazy kpt. K., wskazując mu dokładnie kierunek uderzenia. Wreszcie rozlega się nawała ognia naszej artylerii. Las zadrżał, powtarzając tysięcznym echem kanonadę. Czołgi zadymiły z rur wydechowych, szykując się do uderzenia. Piechota ruszyła do natarcia. Od Niemców dzieliła nas przestrzeń około 1.000 metrów, a miejscami mniej nawet. Odezwały się mordercze, dobrze przygotowane ognie z ich stanowisk.

Brałem udział w wielu natarciach tamtej i obecnej wojny, ale w tym natarciu wydawało mi się, że jestem na wzorowym ćwiczeniu pokazowym. Czołgi jak huragan minęły naszą piechotę, uderzając na okopy Niemców. Tuż za czołgami wdarła się piechota. Niemcy widocznie nie spodziewali się tak silnego uderzenia. Walka trwała krótko. Pokotem padali ci, co stawiali opór, reszta w panice uciekła ku tyłowi. Porzucili swój sprzęt wojenny, wkopane na stanowiskach czołgi, armatki przeciwpancerne, karabiny maszynowe, moździerze itp.

Udałem się teraz na lewe skrzydło, gdzie nacieraly kompanie czołgów "TK" i "TKS". Tu również było pełne powodzenie natarcia, ale czołgi miały bardzo poważne straty. Kpt. Sz. stracił na polu walki 80% kompanii. Kompania piesza pancerna por. Hermana, a był w niej również chor. Wojcieszak, jak burza rzuciła się na miasto. Wdar-

ła się do koszar zaciekle bronionych przez Niemców. Miejscami wywiązała się walka wręcz. Walczono o każdy budynek. Niemcy bili z okien, z dachów, zza rogów zabudowań, ale brać pancerna parła naprzód niepowstrzymanie. Trup padał gęsto z obu stron, ale rozmach tych pieszych pancernych był tak żywiołowy, że Niemcy w końcu zaczęli uciekać. Koszary były zdobyte, kompania parła dalej naprzód i wyszła na szosę. Tu czekało Niemców istne piekło. Wypierani z południowej i środkowej części miasta, wpadli pod ogień kompanii. Zaczęła się po prostu rzeź.

Tak było na lewym skrzydle. Na prawym szalały moje czołgi lekkie "7.T.P." pod dowództwem kpt. K. Jak lawina runęły w ulicę, miażdżąc i łamiąc opłotki i parkany oraz siejąc ogniem spustoszenie wśród Niemców. Tuż za nimi wdzierała się piechota 1. pułku strzelców, walcząc na przemian bagnietem i granatem.

Zza prawego skrzydła natarcia, z małego wzniesienia, grzmiała kompania cekaemów z kilku na raz karabinów maszynowych, siejąc morderczym ogniem.

Na nic były dobre pozycje Niemców, na nic ich odwaga i upór, na nic przewaga w ludziach i uzbrojeniu. Kładło się wszystko pokotem lub pierzchało w przerażeniu.

W pewnej chwili część naszych czołgów "7.T.P." przedarła się na jakiś placyk, czy coś w tym rodzaju, skąd właśnie czołgi niemieckie w szyku zwartym wyruszały do bitwy. Działka naszych czołgów błyskały nieprzerwanym ogniem. Kilka-



naście czołgów niemieckich z miejsca zostało rozbitych, zanim się wśród Niemców zorientowano, co się stało. Reszta ich czołgów rozprysła się na wszystkie strony. Po pewnym dopiero czasie rozległy się ich działa charakterystycznie strzelające i cielska pancerne zaczęły się ukazywać ze wszystkich ulic.

Niemcy rzucili swoje odwody pancerne i ludzkie, aby powstrzymać nasz napór i uratować się od niechybnej klęski. Zdobyliśmy już połowę miasta, ale zabrakło nam oddechu po prostu. Była już godzina 13, a przecież nasi żołnierze bili się od świtu bez wytchnienia. Niemcom zaczęły narastać posiłki, my zaś daremnie czekaliśmy na pomoc północnego naszego natarcia na Tomaszów, które wykonywała druga połowa Warszawskiej Brygady Panc.-Mot. Natarcie to wyszło z kierunku miejscowości Zielone — Szara Wo'a, ale ugrzęzło przed miejscowością Rogoźne, nie mogąc pokonać oporu nieprzyjaciela. Utrzymanie miasta w tych warunkach było niemożliwością. Padł rozkaz do uporządkowania pomieszanych oddziałów na zachodnim skraju miasta i ponownego przygotowania natarcia na godzinę 15. Oddziały częściowo wycofały się na wschodni brzeg lasu tomaszowskiego. Był on uśłany trupami Niemców i porzuconym sprzętem. Polecilem por. Nahorskiemu, aby zebrał kilku ludzi i zajął się niszczeniem zdobytego sprzętu, jak samochodów, czołgów, armatek, moździerzy itd. Sam już odjeżdżałem na prawe skrzydło, gdzie się wycofały czołgi "7.TP", gdy nadjechał kpt. B. meldując mi, że na przedpolu leży ranny por. Herman.

Natychmiast wysłałem sanitariuszy i oddałem swój wóz, aby rannego przewieźć ku tyłowi. Nim doszliśmy do skraju lasu, chłopcy pancerni wynieśli swego dowódcę spod morderczego ognia Niemców. Ułożono go ostrożnie z noszami na samociągach. Uśmiechnął się do mnie, blady był jak płótno. Kazałem kpt. B. odwieźć go w bezpieczne miejsce do tyłu i dać mu pomoc lekarską.

Boże drogi! Myśmy właściwie nie mieli tyłów. Ze wszystkich stron napierali Niemcy, a brygada nacierała płytko, mając właściwie tylko wojsko pierwszej linii, bo całe tyły zostały przed walką zniszczone. Pomoc sanitarna w tych okolicznościach była beznadziejna.

Po wyprawieniu rannego udałem się z dwoma łącznikami z mojego pocztu na prawe skrzydło, gdzie miał być punkt dowodzenia ppłk. Wzacnego i gdzie stały po walce czołgi "7.TP". Szedłem na piechotę, bo swego "łazika" oddałem na przewiezienie rannego. Dzień był upalny. Powietrze w lesie wydawało się przesycone mdłym zapachem krwi. Spocony do nitki, dobiegłem wreszcie do czołgów. Straty w czołgach "7.TP" też były poważne, bo wynosiły 50% rozbitego sprzętu i rannych lub zabitych strzelców. Spytałem o kpt. K. Był on na skraju lasu. Zaczęto go szukać.

W tym czasie nadszedł ppłk. Wzacny i rzekł spokojnie:

— Niemcy rozbili nasze prawoskrzydłowe ubezpieczenie. Jest to nowa kolumna czołgów niemieckich. Meldują mi, że około 80 sztuk. Nadjechali z Bełżca i po rozbiciu kompanii ubezpieczającej ten

kierunek zagrażają nam od tyłu. Zabezpiecz mi ten kierunek.

— Rozkaz, panie pułkowniku!

Nie było czasu do namysłu. Postanowiłem chwycić parę czołgów "7.T.P." i nimi zagrozić Niemcom drogę na nasze tyły.

Rozgniewał mnie fakt, że przy paru czołgach, stojących w pobliżu, załogi najspokojniej spały koło maszyn. Żołnierze byli ponakrywani płaszczami. Rozumiałem wysiłek żołnierza i jego zmęczenie. Rozumiałem, że każdą nadarzającą się chwilę trzeba wykorzystać na odpoczynek, ale żeby teraz, kiedy bitwa trwa, kiedy łamie się nasze natarcie i grozi nam uderzenie czołgów od tyłu — spać spokojnie, tego nie rozumiałem!

Podbiegłem do najbliższego czołga, schyliłem się nad pierwszym z brzegu śpiącym żołnierzem, z gniewem zrywam z niego płaszcz... Żółta twarz zabitego patrzy na mnie otwartymi oczami... Nakryłem go z powrotem, podbiegłem do drugiego, w przekonaniu, że śpi na pewno. Uderzył mnie ten sam mniej więcej obraz. Podbiegam do trzeciego, zrywam płaszcz — znów to samo! Oprzytomniałem. Teraz dopiero zrozumiałem, że te śpiące obok maszyn załogi śpią snem wieczystym.

Otrząsnąłem się z przykrego wrażenia. Należało działać. Pozostawiłem łącznika, aby odszukał kapitana K. i wręczył mu moją kartkę z rozkazem. Następnie chwyciłem trzy czy cztery najbliższe czołgi z załogą, doczepiłem do czołgów jakieś dwa zdobyte niemieckie działka przeciwpancerne i trochę amunicji. Paru żołnierzom z 1. pułku strzelców

i jakiemuś podchorążemu kazałem sięść na czołgi. Z por. Nahorskim ruszyliśmy tym oddziałkiem na kierunek naszego zagrożenia z prawego skrzydła, gdzie już odezwały się ognie czołgów niemieckich. Pełnym gazem dojechaliśmy do małej kępy drzew, około półtora km w tyle. Tam ustawiłem czołgi w ukryciu z gotowością do strzału. Na skraju tego lasu kazałem podchorążemu ustawić armatki przeciwpancerne, nad którymi powierzyłem mu dowództwo. Za chwilę wyłoniło się kilka czołgów niemieckich, które powitaliśmy ogniem naszych armatek. Jeden czy dwa zostały rozbite, reszta, nie spodziewając się oporu, wycofała się w głąb lasu.

Spokojny już o bliskie nasze tyły, pozostawiłem por. N. z czołgami, sam zaś udałem się z powrotem na nasze prawe skrzydło. Po drodze spotkałem już ppłka Wzacnego, jadącego w czołgu, oraz wycofujące się oddziały jego zgrupowania. Zameldowałem podpułkownikowi o walce z czołgami i o ubezpieczeniu zagrożonego kierunku plutonem czołgów "7.TP" i armatkami.

— W porządku — rzekł — ale musimy się wycofać do lasu na wschód od miejscowości Ulów.

— Czy mam wycofać ubezpieczenie? — spytałem.

— Jeszcze nie. Później dostaniesz rozkaz.

Widziałem na spokojnej twarzy podpułkownika głęboką troskę. Jego zawsze wesołe oczy tym razem były smutne.

— No, siadaj na czołg, ruszamy dalej — powiedział.

Stałem na wierzchu czołga, trzymając się wieży, obok podpułkownika stojącego w jej wnętrzu.

Po chwili odezwał się do mnie :

— Tak to się skończył piękny sukces naszego natarcia. Północna kolumna utknęła przed Rogoźnem, a ja, niestety, trzema kompanijkami piechoty, jedną baterią i twoimi czołgami nie mogę pomóc pancernej dywizji.

Po chwili dodał :

— Musimy się wycofać do lasu na wschód od miejscowości Ulów, bo jesteśmy zanadto wysunięci w przód, a Niemcy obchodzą nas bokami. Nie zdołamy się utrzymać w lesie tomaszowskim, bo połowa nas padła.

Gdyśmy się zatrzymali na nowych stanowiskach, przybył kpt. B. i zameldował mi ze smutkiem :

— Porucznik Herman umarł z odniesionej rany.

Zapanowało milczenie. Po chwili spytałem :

— Był pan przy tym?

— Tak jest, panie majorze. Por. Herman był ranny w brzuch. Zdawał sobie sprawę, że umiera. Nie było ratunku. Mówił ciągle o Polsce. Umarł w pełni świadomości.

Kazałem go pochować w lasach józefowskich, z odrysowaniem szkicu okolicy, gdzie spoczął na zawsze.

Położenie nasze było ciężkie. Straty duże, zwłaszcza w moim zgrupowaniu. Z kompanii czołgów "TKS" i "TK" został zaledwie pluton. Z 22 czołgów "7TP" pozostało zdolnych do walki 10

czołgów. Straty w oficerach wyniosły 2 zabitych i 3 rannych, podoficerów i strzelców pancernych poległo około 60, nie licząc rannych.

Ciężki był to dzień dla wszystkich, a szczególnie dla czołgistów, których poległa prawie połowa.

Wieczorem tego dnia staliśmy koło czworokątnego niedużego lasu przy trakcie Józefów-Tomaszów. Przed zapadnięciem zmroku ppłk. Wzacny z ppłk. Zielińskim, swoim zastępcą, pojechał na poszukiwanie 203 pułku piechoty, który był w sąsiedztwie. Mieli uzgodnić ewentualne natarcie na Tomaszów, zamierzone tej nocy.

Po jego powrocie została zwołana odprawa i wydane rozkazy do nocnego natarcia, które miało wyruszyć łącznie z 203 pułkiem i resztkami moich czołgów. O godzinie 24 ruszyliśmy do uderzenia. Pluton czołgów "7TP" i "TKS" w straży przedniej, reszta moich czołgów była rozmieszczona w kolumnie piechoty.

Oczywiście, o zaskoczeniu mowy być nie mogło. Niemcy byli dobrze przygotowani na tę okoliczność. Mimo śmiałości i rozmachu uderzenia natarcie utknęło przed miastem. Nasza bateria artylerii kapitana J. rozpoczęła z otwartych stanowisk ogień na wprost na błyskające cele nieprzyjaciela i wejścia do miasta. Kapitan J. dwoił się i troił, dokonywając czynów bohaterstwa i poświęcenia. Jego to ogień zmusił wreszcie Niemców do wycofania się ze skraju miasta. Zapłacił za to swoją krwią, będąc ciężko ranny, a z baterii ocalała tylko jedna armata.

Niemcy również bili po nas bronią przygotowaną do nocnego strzału i dobrze ukrytą między domami. Ich świecące pociski, różnych kalibrów, padały na nas rojami.

Kolumna pierwszego pułku strzelców konnych i tym razem nie wyszła z nami na Tomaszów, nie mogąc widocznie przełamać oporu Niemców w miejscowości Rogoźno. Ponownie padł rozkaz, by się wycofać. Znowu nowe straty w ludziach i sprzęcie pancernym.

Przez lasy ulowskie doszliśmy do Rogoźna, gdzie z rozkazu dowódcy Warszawskiej Brygady Panc.-Mot. stanęliśmy w południowo-wschodniej części lasu, tuż na zachodniej stronie miasteczka, z zadaniem ubezpieczenia prawego skrzydła armii.

W ciągu dnia rozgrywały się walki w lesie, na południe od Rogoźna. Nasze zgrupowanie było ustawicznie w starciach z rozpoznaniem piechoty i czołgów niemieckich, podchodzących od strony miejscowości Ulów i Lasoty. Byliśmy również ostrzeliwani przez artylerię i ciężką broń piechoty z lasu tomaszowskiego, który Niemcy ponownie zajęli.

Z czołgów "7TP" pozostało mi tylko 6 czy 7 maszyn i 2 czołgi "TKS". Były już bez materiałów pędnych, zwłaszcza czołgi "7TP", chodzące na ropie. Ustawiłem je na dozorach, zamaskowane, na skraju lasu. Po południu poszedłem dowiedzieć się od dowódcy zgrupowania, co robimy dalej. Czy są jakieś rozkazy? Zostałem ppłk Wzacnego siedzącego na jakimś pniaku. Był, jak zwykle, spokojny,

starannie ogolony, zapięty na ostatni guzik. Usiadłem obok i spytałem :

— Nie masz nowych rozkazów? Czy są jakieś zmiany w położeniu?

— Nie, nie mam jeszcze, ale wiem, że brygada gotuje się do jeszcze jednego natarcia dziś w nocy. Na szczegóły czekam właśnie.

— A jak jest z ogólnym położeniem? — spytałem.

— Pytasz się jak dziecko, chyba sam widzisz, jak jest. Cóż ci mogę więcej powiedzieć?

Zapanowało przykre milczenie. Istotnie — myślałem — coś mi mógł więcej powiedzieć, niż ja sam widziałem. Ale jak tonący chwyta się źdźbła słomy, tak i ja szukałem jeszcze jakiejś nadziei, jakichś nowych, lepszych wiadomości.

Poszedłem do moich chłopaków. W lesie był również batalion piechoty. Strzelcy poukładali się pod drzewami i na małej polance obok nas. Raptem z niewielkiej odległości odezwały się strzały z pistoletów maszynowych. Powstało zaniepokojenie. Wysłano patrol. Po pół godzinie znów odezwała się ostra strzelanina z innego miejsca, kilku żołnierzy odniosło rany. Były to śmiało działające patrole Niemców, niepokojące batalion.

Znowuż wysłano patrole. Po jakimś czasie widzę, że zbliża się grupa żołnierzy prowadząca jeńca niemieckiego. Podeszedłem ku nim. Jeden z moich strzelców pancernych wystąpił i zameldował :

— Panie majorze, melduję posłusznie, że przyprowadziłem jednego szkopa, który strzelał, drań, do naszej piechoty.

— No, dobrze, ale jak to się stało, żeście go złapali?

— To było tak. Jak te Szwaby zaczęły nas ciągle ostrzeliwać, poszedłem na ochotnika z jednym patrolem piechoty. Odeszliśmy jakie 100 metrów w las, a tu zza krzaków jak nie grzmotną po nas z pistoletów maszynowych. Myślałem, że wszystkich nas ukatrupili. Padłem na ziemię i wyrznięłem głową w pniak. Straciłem przytomność czy zamroczyło mnie. Ale za jakiś czas oprzytomniałem, otwieram oczy i widzę, że o jakieś parę metrów na ścieżce leży żołnierz. Przyglądam się lepiej, a to Szwab. Już miałem zamiar się podnieść, a tenci trup niemiecki zaczyna się ruszać. Wtedy jak nie bryknę z karabinem na niego! Gdy mnie zobaczył, znów odstawił trupa. Ale ja nie frajer, kropnąłem go kolbą po goleniach, zerwał się z krzykiem i zaczął mnie prosić po szwabsku, żeby go nie zabijać. Obejrzałem go całego, nigdzie ani nie draśnięty. Udawał trupa, jak nasi zaczęli naparzać. No, mówię do niego, naprzód marsz. I tak go tu doprowadziłem.

— Morus jesteś, bracie. Odprowadźcie go teraz do pana pułkownika Wzacnego.

Wielu było jeńców tego dnia, gdyż patrole nieprzyjacielskie podchodziły beczelnie blisko. Na przesłuchaniu opowiadali, że muszą tak działać, bo w każdym oddziale jest jeden gestapowiec, który strzela w łeb, gdy żołnierze się ociągają.

Wieczorem przybył oficer z brygady z rozkazami do ponownego nocnego natarcia brygady na Tomaszów. Przed świtem dnia 21 września wyszło

ostatnie uderzenie brygady i jakiegoś pułku piechoty. Po przejściu Rogoźna załamało się jednak w gwałtownym ogniu artylerii i karabinów maszynowych nieprzyjaciela.

Około godziny 6 padł rozkaz o kapitulacji, dający dowódcom wolną rękę.

Poszedłem do ppłka Wzacnego. Stał spokojny, jak zwykle, wydając rozkazy do przedzierania się grupami na Lwów.

Zbliżyłem się do niego i spytałem:

— Zenku, to już koniec?

Odpowiedział mi tylko:

— Sam widzisz.

Rozegrały się teraz tragiczne końcowe momenty. Kolejno odmeldowali się u mnie: kpt. Sz., dowódca samodzielnej kompanii czołgów "TKS" ze Lwowa, który z paroma ludźmi poszedł przemykać się na Lwów, potem kpt. Ł., dowódca wileńskiego dywizjonu pancernego.

Pozostał tylko mój 11. dywizjon i kilku ludzi z "7TP".

Las brzmiał echem pękających granatów i pojedynczych strzałów karabinowych, kończąc smutną melodię tej bitwy.

W POTRZASKU

DNIA 21 września, po tragicznym zakończeniu bitwy o Tomaszów Lubelski, wojska miały się rozejść. Zarządziłem zbiórkę mego dywizjonu w lesie. Padły ostatnie słowa pożegnania.

Podzieleni na małe grupy, pod dowództwem oficerów, poszli pancerni szukać przejścia przez pierścień Niemców. Chcieliśmy dalej walczyć — pod Lwowem czy Warszawą. Nie złożyliśmy broń na polu bitwy.

W mojej grupie znaleźli się, między innymi: kpt. B., por. Nahorski, chorąży Wojcieszak i inni — razem ośmiu. Każdy z nas uzbrojony był w pistolet “Vis*”).

Po rozejściu się dywizjonu postanowiliśmy iść na Lwów. Jak się przemknąć, jaką drogę obrać, aby wyjść z olbrzymiego koliska wojsk niemieckich? Na te pytania nikt z nas nie miał na razie odpowiedzi.

W promieniu kilku kilometrów od Tomaszowa znaliśmy teren dobrze. Trzeba było działać szybko. Niezadługo Niemcy zaczęliby z pewnością przetrząsać mały las, w którym staliśmy jeszcze ciągle na miejscu ostatniej zbiórki dywizjonu. Panoowało milczenie, nikt się nie odezwał. Wszyscy sta-

*) Pistolet automatyczny, typu wojskowego, polskiej produkcji.

liśmy zrezygnowani, oszołomieni, bezwolni. Ja również nie mogłem skupić myśli ani zdobyć się na żadną decyzję. Wreszcie przemogłem się resztką woli :

— Już na nas czas. Ruszamy.

Ożywili się, obstąpili mnie wokoło, kpt. B. zapytał :

— Którędy, panie majorze?

— Idziemy na razie do traktu Józefów - Tomaszów, potem lasami koło Ułowa, w ogólnym kierunku na Narol — zaimprovizowałem.

— To znaczy, akurat na tę dywizję, z którąśmy się bili — odezwał się ktoś z grupy.

— Tak. Trzeba się na coś zdecydować. Oczywiście, jest kilka kombinacji wyjścia, ale która z nich jest najszcześniejsza, trudno zgadnąć. Jedno jest pewne : że tu stać nie możemy ani chwili dłużej.

— Tak jest, panie majorze — zgodzili się wszyscy.

— No, to wobec tego w drogę — zakomenderowałem.

Ruszyliśmy gęsiego, jeden za drugim, z pistoletami gotowymi do strzału. Wokoło, z bliska i z daleka, słychać było strzały karabinowe, od czasu do czasu zawył złowieszczo pocisk armatni, rozrywając się z metalicznym dźwiękiem gdzieś w pobliżu nas.

Słońce przedzierało się przez konary drzew. Pierwsze światło dnia kładło się pod nasze stopy. Jak w piosence żołnierskiej : “Maszerują chłopcy,

maszerują” tak i nam salutowały sosny, gdyśmy maszerowali borem — lasem...

Nie wiem, co się działo w sercach moich towarzyszy. Wiem, co sam wówczas odczuwałem. Zaciiskałem zęby, żeby unieruchomić rozedrgane mięśnie twarzy. Pamiętam i przyznaję się bez wstydu, że miałem jedyne pragnienie, aby się nie rozkleić, nie rozpłakać jak dziecko. Szedłem na czołe grupy i powtarzałem bezmyślnie w takt kroków słowa: Raz, dwa, równo, sztywno, raz, dwa. Byłem fizyczną bryłą poruszającą się, nie wiem dzięki jakiej sile i czyim nakazom.

Po jakimś czasie drzewa zaczęły się przerzedzać, dochodziliśmy do traktu Tomaszów-Józefów. Ktoś zwrócił uwagę, aby iść ostrożniej. Na drodze mogliśmy spotkać Niemców. Miał rację.

Po dojściu do skraju lasu musieliśmy długą chwilę wyczekać w ukryciu, by móc przekroczyć drogę. Co chwila przejeżdżał jakiś pojazd niemiecki. Widzieliśmy ślady wczorajszego boju, porozbijany sprzęt pancerny i motorowy, tu i ówdzie porzucone karabiny i armatki przeciwpancerne. Tu i ówdzie spał snem wiecznym żołnierz.

Po przeskoczeniu traktu zaczęliśmy się wspinać pod górę. Potem przedzieraliśmy się gęstym zagajnikiem, wreszcie las się skończył. Zaczynało się przed nami łyse wzgórze. Stop. Zatrzymałem grupę. Zaczęliśmy się orientować według mapy, czy idziemy dobrze. Zgadzało się, kierunek był dobry, ale tak dużej polany na mapie nie było. Pewnie w tym miejscu niedawno został wyrąbany las.



Po namyśle postanowiliśmy przejść grzbiet łysej góry, aby się dostać do lasów po drugiej stronie wzgórza. Innego zresztą wyboru nie było. Z boku na lewo, niedaleko nas, był Tomaszów z Niemcami. Za nami też Niemcy. W wiosce, z prawej strony, którążeśmy widzieli, roilo się od woj-ska niemieckiego.

Ruszyliśmy pod górę. Słońce prażyło niemiłosiernie — pozdejmowaliśmy płaszcze. Byle za górę. Tam już czerniały lasy jak okiem sięgnąć, tam już nas Niemcy nie dostaną.

Po pewnym czasie stanęliśmy na szczycie. Przed nami rozpościerał się stok łagodnie opadający do lasu, odległego o jakieś 800 metrów. Pod lasem biegła droga, na której spostrzegliśmy żołnierzy. Przez lornetkę stwierdziłem, że to Niemcy, placówka niemiecka. Nie odrywając lornetki od oczu, mówię do swoich:

— Panowie, ten kierunek jest również dla nas zamknięty. Patrzcie tam — wskazałem ręką — to Niemcy.

— Tak jest — potwierdzili inni.

Niemcy, niestety, też nas zauważyli. Po chwili zaszczeakały karabiny maszynowe, posypały się z sykiem pociski.

Rozwiała się jeszcze jedna nadzieja i skończył się miraż zbawionego lasu. Ponieważ we wsi położonej w prawo też nas zauważono i poczęto strzelać, nie było innej rady, jak wycofać się za górę z powrotem. Położenie nasze było beznadziejne. Pozostała nam jedynie droga do lasu, z któregośmy wyszli, a tam przecież byli Niemcy. Chyłkiem po-

częliśmy zbiegać po przeciwnym stoku góry, ku pobliskim zaroślom. Gdyśmy ich dopadli, okazało się, że była to głęboka rozpadlina, coś jakby wąwóz ze stromymi zboczami. Ukryliśmy się na dnie wąwozu i tu powziąłem plan, który przedstawiłem towarzyszom.

Wąwóz prowadził do drogi wiodącej do wsi i biegł równolegle do drogi Tomaszów - Józefów. Przy końcu tej rozpadliny widniał mały, na chłopa wysoki, zagajnik sosnowy. Postanowiłem za wszelką cenę dostać się niepostrzeżenie do zagajnika i tam szukać dalszych możliwości wyjścia z potrzasku. Choć widziałem na twarzach moich towarzyszy zwątpienie, ruszyliśmy bez słowa dyskusji naprzód. Przekradaliśmy się niczym wilki. Tuż za nami szły patrole niemieckie. Słyszeliśmy ich nawoływania i pojedyncze strzały, kiedyśmy dotarli do zagajnika. Okazało się z bliska, że był to bardzo gęsty, dziko rosnący młodniak świerkowy. Z trudem wpelzaliśmy na brzuchach pod podszycie. Lasek był w istocie kępą, powierzchni nie większej niż dwa morgi. Usadowiliśmy się pośrodku, aby zabezpieczyć się jako tako. Panował tam prawie mrok, światło ledwie się przedzierało przez zbitą masę gałęzi. Słyszeliśmy coraz bliższe nawoływania patroli niemieckich, wysłanych w ślad za nami. Nieomal o kilka kroków od naszej kryjówki przeszedł żołnierz niemiecki, przedzierając się z trudem przez gęste krzaki i klnąc głośno.

Poukładaliśmy się na wilgotnej ziemi i postanowiliśmy czekać do nocy. Jakże powoli wlokły się

godziny! Byliśmy w ustawicznym napięciu nerwowym!

Lasek przylegał do drogi, skąd dochodził nas odgłos przejeżdżających oddziałów. O wyjściu z ukrycia nie było mowy. Postanowiliśmy bronić się do ostatniego, gdyby nas Niemcy znaleźli.

Zwolna, zwolna oswajaliśmy się z naszym osobliwym położeniem. Przywykliśmy nawet do zgiełku panującego na drodze, odległej o jakie 50 metrów od nas. Mimo to w ciągu dnia były chwile, że już chcieliśmy dać ognia. Wydawało się nam, że jesteśmy wykryci. Ale Bóg był łaskaw...

Jeden z grupy zajął się zebraniem naszych zapasów prowiantowych i począł nam wymierzać racje żywnościowe. Porozumiewaliśmy się szepcąc, aby się nie zdradzić. Na ogół panowała wśród nas cisza i to było najgorsze. Gdy zapadła noc, nic się właściwie w naszym położeniu nie zmieniło. Na drodze panował ten sam ruch co za dnia, to samo patrolowanie okolicy. Słowem, nie mogliśmy nosa wystawić poza naszą kryjówkę. Zgodziliśmy się na jedno: że trzeba czekać, aż się coś zmieni, bo w tych warunkach wyjście — to pewna niewola lub śmierć.

Tak przesiedzieliśmy w naszym potrzasku trzy nieskończenie długie dni i trzy koszmarnie noce. Przymieraliśmy głodem, a już najgorzej było z wodą. Papierosów mieliśmy sporo, więc się paliło namiętnie, choć z wszelkimi ostrożnościami. Papieros zastępował wszystko, ale niestety, wzmagał pragnienie. Kopaliśmy głębokie jamy w ziemi i wysysaliśmy z piasku wilgoć. Zaczynało być na-

prawdę źle. Nasz stan nerwowy sięgał już kresu wytrzymałości. Fizycznie czuliśmy się fatalnie. Tymczasem w naszym położeniu nic się nie zmieniło. Niemcy założyli w okolicy i w najbliższej wsi swoje bazy zaopatrzeniowe i polowe obozy jeńców. Słowem, wpadliśmy, że gorzej nie można było.

Widząc, że nie doczekamy się odejścia Niemców i że na żadną zmianę się nie zanosí, a czując, że dłużej tu nie wytrzymamy, zdecydowałem się trzeciego dnia o zmroku opuścić z grupą kryjówkę. W milczeniu przygotowywaliśmy się do wyjścia. Po naradzie postanowiliśmy iść w kierunku Tomaszowa i pod osłoną nocy, wymijając miejscowości, dostać się na wschód od szosy Narol — Bełżec — Tomaszów.

Nadeszła wreszcie chwila wyruszenia. Pojedynczo zaczęliśmy się wysuwać i podążać do skraju lasu, z którego przed paru dniami nacieraliśmy na Tomaszów. Po pewnym czasie osiągnęliśmy las i omówiliśmy raz jeszcze kierunki naszego marszu. Noc była widna bez mała jak dzień. Już mieliśmy ruszyć, gdy jeden z wyznaczonych obserwatorów zauważył opodal patrol na rowerach. Przeczekaaliśmy jeszcze trochę i w końcu ruszyliśmy.

Cóż to była za rozkosz móc się poruszać swobodnie. Nie czuliśmy wyczerpania — przeciwnie, zdawało się, że sił nam przybywa. Ale była to złuda, wywołana nowym napięciem nerwów. Po przejściu kilku kilometrów siły zaczęły nas opuszczać. Uczucie głodu, a przede wszystkim pragnienie wróciły ze zdwojoną mocą. Musieliśmy się częs-

to zatrzymywać na parominutowe odpoczynki, by zebrać siły do dalszego marszu.

Po pewnym czasie doszliśmy do jakiegoś pola. Okazało się, że było to kartofolisko. Zaczęliśmy się raczyć surowymi kartoflami, zaspakajając częściowo głód i pragnienie. Oczywiście, każdy z nas wziął sobie odpowiedni ich zapas do kieszeni i chlebaka. Po dojściu do wysokopiennego lasu zatrzymaliśmy się na kilkominutowy odpoczynek. Jeden z naszych oficerów zrobił tu nieoczekiwane odkrycie, mianowicie znalazł głęboką jamę, w której była woda. Ogarnęła nas nowa radość. Poczęliśmy czerpać ten cudowny napój, który wprawdzie cuchnął, ale nam wydawał się z niczym nieporównany.

Po trzech czy czterech godzinach kluczenia lasami wypadło nam przejść przez jakąś wieś. Dziś nazwy jej nie pamiętam. Była prawie cała spalona i tylko we wschodniej części widniało parę domów. W jednym z nich świeciły się okna. To nas upewniło, że we wsi są Niemcy. Przeszliśmy jednak przez tę wieś, gdyż ominęcie jej bardzo by nas oddaliło od obranego kierunku. Głód zaczął nam znów dokuczać, a zmęczenie potęgowało się z każdą chwilą. Po przejściu spalonej części, już poza wsią, obok drogi, w odległości 100—150 metrów, zauważyliśmy jakieś kopce czy coś w tym rodzaju.

— To pewnie pogorzelcy — zwrócił uwagę chorąży Wojcieszak.

— Może by od nich czegoś się dowiedzieć albo dostać trochę pożywienia — rzucił por. Nahorski.

Choć czas naglił, zatrzymałem grupę. Kapitan B., chor. Wojcieszak i jeszcze ktoś z grupy poszli na zwiady. Reszta poukładała się w przydrożnym rowie. Po pewnym czasie wrócili nasi zwiadowcy przynosząc dawno już nie oglądane ludzkie pożywienie: mleko, jaja, chleb, kiełbasę.

Boże, cóż to była za uczta...

Biedni mieszkańcy tej wsi dali nam trochę potrzebnych wiadomości co do kierunku marszu i możliwości przejścia. Po posiłku ruszyliśmy dalej.

Gdy teraz to piszę, wyczuwam w mym opowiadaniu pewien niedobór. Można by pomyśleć, że były to zwykłe przygody, nic więcej. W rzeczywistości jakże było inaczej! Co się działo w naszych sercach...

Więc jakto? My, żołnierze, wychowani w wolnym kraju musieliśmy pomykać nocą, lasami, jak wilki — na własnej ziemi? Ta szalona dewaluacja naszej wartości i znaczenia, ten cały koszmar miażdżącej przewagi fizycznej Niemców, ta szybkość wydarzeń jak w skrócie filmowym — wszystko razem przepełniało nas goryczą i nieomal rozpaczą. Każdy nasz krok, aby wydostać się z kręgu wojsk niemieckich, odczuwaliśmy jako obrazę naszej godności i jako wyraz niemocy. A przecież nie wiedzieliśmy, że wojska sowieckie wtargnęły na nasze ziemie i że właściwie jest już po wszystkim.

Po dwóch czy więcej dniach przekradania się lasami zatrzymaliśmy się na kilkogodzinny odpoczynek. Był piękny, upalny dzień. Wyglądaliśmy strasznie, szerniali i zmizerowani, od szeregu dni

nie goleni. Postanowiliśmy się zatrzymać nad rzeczką, aby wreszcie doprowadzić się do ludzkiego wyglądu i wysuszyć na słońcu nasze ubrania, przesiąknięte wilgocią mgieł nocnych. Dwóch z naszej grupy pełniło służbę czuwania, reszta zabrała się do prania koszul, skarpet, mycia i golenia. Po pewnym czasie usłyszeliśmy z drugiej strony rzeczki jakieś głosy ludzkie i szczekanie psa. Wysłałem, już nie pamiętam kogo, na rozpoznanie. Okazało się, że w pobliżu jest wieś i że w niej Niemców nie ma. Oczywiście paru z naszej grupy skoczyło do wsi. Mieszkańcy przynieśli nam jaja, chleb i ser, a nawet gotowane kury. Był to pierwszy gorący posiłek od szeregu dni. Niestety, nie wszyscy go otrzymali, bo tymczasem przybyli do wsi Niemcy. Trzeba było zniknąć w lesie.

Następnego dnia, maszerując traktem leśnym już gdzieś niedaleko Rawy Ruskiej, natknęliśmy się na furmankę chłopską. Jechało nią trzech młodych chłopaków. Gdy nas zobaczyli, zdziwili się, że jesteśmy w mundurach. Od nich otrzymaliśmy pierwsze wiadomości o Bolszewikach i o upadku Lwowa. W głowach nie chciało nam się to pomieścić!

Chłopcy jechali na poszukiwanie koni, ale zaniechali swego zamiaru i postanowili zająć się nami. Jeden z nich, o śmiałej twarzy i płowej czuprynie, stanął przede mną na baczność i zameldował:

— Panie majorze. Jestem żołnierzem czynnej służby. Mój pułk był w obronie Lwowa. Po poddaniu się miasta dałem drapaką do domu, bo nie ma się gdzie bić. Wszędzie Niemcy i Ruskie. Niech

panowie nie idą dalej w mundurach — powiedział nagle cichym głosem — bo was zabiorą do niewoli albo zakatrupią.

Nowa straszna wiadomość uderzyła w nas jak grom, odbierając nam resztki nadziei. Boże, co za koszmar i rozpacz! Co robić dalej?

Napotkani chłopcy niecierpliwni się, były żołnierz dalej prosił:

— Panowie, na miłość Boską, nie idźcie dalej w mundurach. Panie majorze — mówił do mnie — w naszej wsi są sami Polacy. Damy panom wszystko, co potrzeba do przebrania. Odpoczniecie, odkarmicie się, a potem zobaczymy, co dalej robić. Musicie tylko zdjąć mundury.

Po krótkiej naradzie postanowiliśmy pójść za nimi. Nie wymieniam nazwy wsi, bo dziś jeszcze gospodarują tam Niemcy. Chłopcy pośpieszyli przygotować nam miejsce, my pozostaliśmy w ukryciu. Przez ten czas omówiliśmy dalszy plan działania. Postanowiłem grupę rozwiązać z chwilą zdjęcia mundurów. Wydałem ostatni rozkaz, aby się dobrano po dwóch, trzech, według serca i wspólnych dalszych zamiarów.

Po godzinie wrócili do nas nasi przewodnicy i zaprowadzili nas do jednej z chałup położonej najbliżej lasu. Tam zastaliśmy kilku młodych ludzi, którzy poprzynosili dla nas ubrania cywilne. Od wielu, wielu dni nie byliśmy pod dachem. Życzliwa gospodyni zastawiła przed nami stół goszcząc nas, czym mogła. Po posiłku zaczęliśmy przymierzać i dobierać ubrania.

W tym momencie podszedł do mnie chor. Wojcieszak i zameldował:

— Panie majorze, proszę posłusznie o pozwolenie pozostania w mundurze.

Zdziwiony spytałem:

— A to co znowu, panie chorąży? Cóż to pan nowego wymyślił?

— Panie majorze, melduję posłusznie, żem od czasów legionowych nie rozstawał się z mundurem. Jest to po prostu moja skóra. Zdejmą mi ją razem z życiem. Dlatego proszę o pozwolenie pozostania w mundurze.

Znałem dobrze tego żołnierza, jego nieugięty charakter, ale próbowałem mu to wytłumaczyć.

— Panie chorąży — zacząłem powoli — przeżyliśmy wspólnie różne chwile tej wojny. W różnych widzieliśmy się okolicznościach. Czy sądzi pan, że któremuś z nas brak odwagi lub że ktoś z nas mniej jest przywiązany do munduru? Czy może rezygnujemy z dalszej walki przez to, że się z konieczności przebieramy w cywila?

Stał przede mną wyprostowany, ze smutkiem w oczach, a ja ciągnąłem dalej:

— Żołnierz musi mieć gorące serce, ale teraz więcej niż kiedykolwiek musi mieć zimną głowę. Pamięta pan czasy legionów? A P.O.W.? Choć cywile, czyż nie byli żołnierzami? A czy my, choć w cywilu, przestaniemy nimi być?

Stał ciągle milczący, nie przerywając mi ani słowem. W izbie zapanowała grobowa cisza.

Mówilem dalej:

— Obywatelu Stefanie Wojcieszak! Tak jak my dotychczas, będą się teraz bili wszyscy, 35 milionów Polaków. Sami cywile. Trzeba się pomścić, trzeba wygrać! Panie chorąży, powiedziałem już wszystko. Niech pan wybiera!

Stał jeszcze czas jakiś, widziałem, że toczy ze sobą walkę, wreszcie wykrztusił przez zaciśnięte gardło:

— Pójdę w mundurze, panie majorze. Niech zginę!

Wiedziałem, że dalsze perswazje nic nie pomogą. Znałem go przecież nie od dziś. Gdybym mu wydał kategoryczny rozkaz zdjęcia munduru, palnąłby sobie w łeb. Podszedłem do niego, podaliśmy sobie ręce. Dla pokrycia wzruszenia rzuciłem w naszej gwarze: "no byczo, trzymaj fason, stary!"

Potem wypadki potoczyły się szybko. Przebrał się w cywilne ubrania. Różne to były ubrania, przeważnie wiejskie. Robiliśmy uwagi i dowcipy o naszym wyglądzie, jak gdyby nigdy nic. Każdy tuszował, jak mógł, swoją tragedię żołnierską i nadrabiał miną.

Zapadła noc. Postanowiliśmy przespać się u gospodarzy, którzy tak serdecznie nas podejmowali. Chłopcy ze wsi mieli czuwać, by nas nie zaskoczyli Niemcy. Wcześniej z wieczora poszliśmy spać, aby dobrze wypocząć i zebrać siły do dalszych marszów.

Od wielu już dni marzyliśmy o tym, aby się przespać pod dachem, gdzieś w spokojnym miejscu. Wreszcie nadeszła taka noc. Poukładaliśmy się na strychu, w pachnącym sianie. Ciepło było i

jakoś kojąco. A jednak sen nie nadchodził. Męczyła mnie świadomość, że jutro o świcie ostatnie resztki moich towarzyszy pancernych 11. dywizjonu pancernego rozejdą się na różne strony... w cywilu. Boże, daj wytrzymać ten koszmar! Próbowałem wszystkich znanych mi sposobów, żeby nie myśleć o niczem, żeby móc zasnąć. Bezskutecznie. Słyszałem, jak moi chłopcy rzucali się po posłaniu. Słyszałem ich westchnienia. Wiedziałem, że oni też nie śpią.

Nad ranem poczęli się wymykać po cichu, jeden po drugim, do izby. Po pewnym czasie zrobił się na dole ruch, zapalono lampę po uprzednim zasłonięciu okien, gospodyni zaczęła się krzątać koło śniadania. Wstałem i ja, zmęczony tą okrutną nocą. Wchodząc do izby powitałem wszystkich słowami:

— No, jak się spało, wiara?

— O, panie majorze, wspaniale, tylko było za duszno — rzekł kpt. B.

— Przyzwyczailiśmy się spać pod gołym niebem, teraz trzeba się przyzwyczaić spać pod dachem — wtrącił jeden z sierżantów.

Rozmowa się urwała. Każdy udawał, że jest bardzo zajęty przygotowaniem do drogi, choć wszystko już było gotowe. Wyczułem, że chcieli skończyć jak najprędzej z tym napięciem. Chcieli, aby było już po wszystkim. Gospodyni podała posiłek, siedliśmy przy stole w milczeniu. Ten i ów rzucił jakieś obojętne pytanie, ktoś próbował jakiegoś dowcipu — nie wychodziło.

Ponieważ już poprzedniego dnia podobieraliśmy się po dwu-trzech na dalszą drogę, grupy były

ustalone. Żadna z nich nie szła nad granicę, prawie wszyscy obrali kierunek na Warszawę, różnymi drogami. Ja tylko z kapralem C. wybraliśmy kierunek na Lwów. Przyznaję, że nie bardzo wierzyłem w poddanie się Lwowa ani w tych Bolszewików.

Było już dobrze widno, gdy skończyliśmy śniadanie. Nerwowość wzrastała. Nie chciałem robić zbiórki, celowo zwlekałem, aby uniknąć zbiorowego pożegnania. Chciałem chłopcom i sobie zaoszczędzić tej sceny. Zaczynał się nowy etap, a na pewno ciężki. Trzeba było mieć hart i siłę.

Wreszcie podszedł do mnie kpt. B., oficer taktyczny dywizjonu, ze słowami:

— Panie majorze, rozmyśliłem się przez noc, zmieniam plan. Proszę pana majora o pozwolenie pójścia pojedynczo, nie w grupie. Mam tu na kresach starą matkę. Pójdę do niej, a potem, jak Bóg zdarzy...

Podniosłem się z ławy i podałem mu rękę, mówiąc:

— W imieniu służby dziękuję panu. Jeżeli pan kapitan woli iść sam, nie stawiam żadnych przeszkód.

Ucałowaliśmy się serdecznie, poczym kpt. B. pożegnał się z kolegami. Odprowadziłem go za próg domu. Mówił coś do mnie pośpiesznie, łzy mu błyszczały w oczach, wreszcie nacisnął swoją "cyklistówkę" na bakier, włożył ręce w kieszenie trochę przykrótkich spodni i poszedł w świat. Długo jeszcze widziałem jego wysmukłą sylwetkę, aż wreszcie znikł w lesie.

Wróciłem przygnębiony do chaty. Po chwili podszedł do mnie por. Nahorski i meldował:

— Panie majorze, melduję posłusznie: grupa, w składzie: jeden plus dwu, odchodzi na Warszawę.

Znów padły słowa pożegnań, krótkich, ale szarpających całym człowiekiem. Przecież żegnałem moich towarzyszków pancernych, lecz w jakimż stanie i w jakich okolicznościach?!

Odchodząc już ze swoją grupą por. Nahorski przypadł do mnie jeszcze i ze swoim dziecinnyim uśmiechem powiedział:

— Panie majorze, niech się pan nie martwi, wszystko jeszcze będzie dobrze. Odwojujemy Polskę na nowo...

I tak po kolei, po kolei, odeszli wszyscy. Pozostałem w pustej izbie sam z kapralem C. Coś tam do mnie mówili owi chłopcy wsiowi, coś zagadywał kapral, ale nic z tego nie pamiętam. Byłem głuchy i nieczuły. Jedynym moim pragnieniem było wyjść już z tej izby. I to natychmiast!

Ruszyliśmy, żegnani serdecznie przez gospodarzy i młodych chłopaków, którzy nas tu przywiedli.

Właśnie wyszliśmy na kartoflisko, opodał widniał trakt. Raptem ukazała się szybko pędząca półciężarówka niemiecka.

Rzuciłem kapralowi:

— Pozostań w tyle, ukryj chlebak z rewolwerami — a sam przyspieszyłem kroku, nie oglądając się co robi C.

Gdy byłem już na drodze, samochód zatrzymał się przy mnie. Wsiadł z niego młody oficer z ma-

pą w rękę i zapytał po niemiecku o drogę na Tarnobród. Kiwałem głową i wskazywałem ręką w kierunku, w którym jechał, na potwierdzenie, że niby dobrze jedzie, choć sam oczywiście nie miałem pojęcia, gdzie ten Tarnobród leży. Oficer wsiadł z powrotem do samochodu i odjechał. Ochłonałem z wrażenia i powoli zawróciłem do kaprała, który siedział sobie najspokojniej w kartoflisku i trzymał w obydwu rękach wyjęte rewolwery. Rozweselił mnie ten widok, bo nie oczekiwałem czegoś podobnego, ale udając złość, spytałem :

— To tak wykonaliście mój rozkaz? Zamiast ukryć cały chlebak z bronią, usiedliście sobie jak malowany tramwaj i prezentujecie broń jak na paradzie?

— A jakby te Szwaby chcieli zafasować pana majora, to ja by wtedy z palca strzylał? Już ja wolę być danem tramwajem — odciął się urażony kapral.

— No, ale widać z tego, że trzeba będzie rzucić w pierony chlebak, a pistolety schować przy sobie.

— Tak jest, panie majorze, tak będzie lepiej.

— Przestanie mi gadać "panie majorze"! — krzyknąłem.

Uśmiechnął się do mnie i rzekł :

— Kiedy się zapominam, panie majorze, o, choćby i teraz. Cię cholera z taką pamięcią!

Powoli ruszyliśmy dalej, mijając miasteczka i wsie.

Pamiętam, w jednej wsi nad wieczorem Niemcy prowadzili kolumnę około 3000 naszych jeńców.

Szło to bractwo zmizerowane, zmęczone, zrezygnowane, głodne. Baby miejscowe wyległy z pożywieniem i wodą, lecz Niemcy eskortujący kolumnę nie pozwalali się zbliżyć. Nie wytrzymało kilku żołnierzy, biedaków, i wyskoczyło na bok, aby otrzymać trochę pożywienia. Huknęły strzały eskortujących, padł na ziemię jeden z żołnierzy...

Kolumna pod eskortą maszerowała dalej, jak gdyby nigdy nic. Tak padł od wrażej kuli, nie w otwartej walce, lecz zabity po zbójceku bezbronnej żołnierz-jeniec, strzelec Józef Górny...*)

Odtąd już spotykaliśmy wojska sowieckie. Było to dla mnie bolesnym stwierdzeniem pogłosek, w które nie chciałem wierzyć. Bolszewicy napadli na walczący kraj... Niegodne, ale prawdziwe!

W dalszych wędrówkach uzyskałem wiadomości o Lwowie, którego los był już, niestety, niewątpliwy. Zaczęły mnie nurtować myśli, po co my właściwie idziemy dalej? Czego szukamy, kiedy już cały kraj zalany został przez Niemców i Moskali?

Mój kapral pierwszy podniósł dyskusję.

— Panie majorze, żadnego my już wojska naszego nie znajdziemy. Lwów się poddał. Po co iść dalej?

— Mój drogi, gdyśmy wychodzili, nie wiedzieliśmy o tym na pewno. Teraz dopiero wiemy.

Umilkliśmy. Po chwili kapral C. znów się odezwał, przyciszonym — jak mi się zdawało — głosem:

*) Po przejściu kolumny podszedłem do niego. Już nie żył. Nie miał przy sobie żadnych papierów. Odnalazłem nazwisko wypisane na podszewce płaszcza.

— Panie majorze, wracajmy w swoje strony. Ja mam starych rodziców, pewnie się martwią o mnie, jeżeli żyją. Później jeszcze będzie sporo roboty z Niemcami.

Istotnie, myślałem, po co iść dalej? Znow obraz ponurej rzeczywistości uderzył we mnie z całym okrucieństwem prawdy. Jeszcze parę dni temu wierzyłem, że są jakieś oddziały polskie, że nasi potężni i przemożni sojusznicy uderzą wreszcie na Niemców, że przyjdzie odwet za wszystkie krzywdy. A dziś...

Ostatecznie uprzytomniłem sobie, że coś mądrzejszego wymyśle wśród swoich w Warszawie raczej niż tu wśród lasów i pustki.

Powziąłem postanowienie:

— Wracamy!

— Rozkaz, panie Ma...ma...jewski — uśmiechnął się kapral. — O, widzi pan major, już mi poszło lepiej z tą szarżą.

Omówiłem z nim anegdotkę, kim jesteśmy, skąd i dokąd idziemy itp., na wypadek gdyby nas przesłuchiwali Moskale lub Niemcy. Obraliśmy kierunek na Sandomierz ze względu na to, że kapral z tamtych stron pochodził oraz że była to najbliższa droga do Wisły. Rozeszła się bowiem pogłoska, że Moskale zajmują Polskę do Wisły, a chodziło nam o to, aby się znaleźć po tamtej stronie, nim się ustali linia graniczna. Maszerowaliśmy po 50 kilometrów dziennie. Przechodziliśmy przez te same miejscowości, w których przed kilku dniami staczaliśmy boje z Niemcami. Zniszczenie było wielkie, wsie i miasteczka popalone doszczętnie. Janów

Lubelski przedstawiał jedno wielkie pogorzelisko. Wyglądało to niesamowicie, jakoś cmentarnie. Ludzie chodzili jak cienie wśród rumowisk, szukając czegoś nieprzytomnie. Tuż przy szosie u wylotu miasta stał klasztor. Był on uszkodzony pociskami armatnimi. Wielkie drzwi stały otworem na całą szerokość. Weszliśmy do środka. Oczom naszym przedstawił się straszny obraz zniszczenia i zniewagi. Kościół zamieniony został przez Niemców na stajnię i koszary. Posadzkę pokrywały kupy gnoju. Ołtarze były zanieczyszczone, w powietrzu unosił się zapach amoniaku. Gdyśmy tam przyszli, Niemcy już opuścili kościół. Miejscowy proboszcz i parafianie zaczęli już oczyszczać świątynię.

Dużo podobnych objawów barbarzyństwa niemieckiego widziałem w popalonych miastach i wsiach, przez które przechodziłem.

W okolicach Annopola doszliśmy do Wisły. Niemcy dozorowali po obu stronach rzeki. Było nas wtedy czworo, bo na obydwie ostatnie etapy naszego marszu przyłączyli się do nas państwo N., którzy po przyjściu Bolszewików porzucili majątek ziemski i tak jak stali, poszli w świat, ku zachodowi.

Pani N., biedactwo, goniła resztkami sił, ale postanowiliśmy tej jeszcze nocy przepłynąć się przez Wisłę. Znaleźli się przewoźnicy, którzy za drobną opłatą, narażając swe życie, pomagali wędrowcom z obu stron. Nocą, wśród wielkich ostrożności, załadowaliśmy się na łódź i przepłynęliśmy rzekę szczęśliwie. Przekradaliśmy się przez rozległą dolinę, potem doszliśmy w pobliże wsi i szosy bieg-

nącej równolegle do Wisły. Szosą od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód lub motocykl niemiec-ki. Była to pora zakazana dla wszelkiego ruchu miejscowych obywateli. Trzeba było z wielkimi ostrożnościami dojść do zabudowań na szosie. Przeczekaliśmy jakiś czas w ukryciu, początkowo w stogach siana, potem w krzakach i tak, posuwając się skokami, doszliśmy do zabudowań. Po drugiej stronie szosy widniał olbrzymi ogród czy park, ogrodzony wysoką siatką drucianą. Po bliższym rozpoznaniu zauważyliśmy małą furtkę, prowadzącą do ogrodu. Przeskoczyłem szosę i dopadłem drzwi. Nacisnąłem klamkę, ustąpiły. Chwała Bogu! Teraz po kolei wszyscy przeszli do ogrodu. Przed nami wznosiła się tarasami wysoka góra, na której szczycie stał piękny dwór. Noc była jasna, blade światło księżyca padając na drzewa różnych gatunków i kształtów rysowało na ziemi ostre cienie, tworząc złudę fantastycznych labiryntów.

Gdy znaleźliśmy się u podnóża góry, pan N. rzekł:

— Znam właściciela tego majątku. Możemy iść śmiało.

Zatrzymaliśmy się przed samym dworem. Wszystkie okna świeciły się jasno. Zwróciłem się do pana N.:

— Niech państwo idą pierwsi, znacie właścicieli, jesteście prawdziwymi cywilami i choćby tam Niemcy byli, nic wam nie zrobią. My poczekamy tu pod drzewami. Jeżeli w ciągu 15 minut nie wyjdzie pan po nas, to znaczy, że są Niemcy.

Poszli. Po kilku minutach wyszedł do nas pan N. i rzekł:

— Chodźcie panowie, wszystko w porządku.

Był to dwór, który przytulił setki uchodźców i nakarmił setki wędrowców - żołnierzy, nie szczędząc sił i mienia. Zostałem przedstawiony właściicielom, którzy też dopiero co przybyli zza Wisły. Dom był przepełniony rodzinami ziemiańskimi ze wschodnich kresów. Opowiadaniom o ostatnich wypadkach nie było końca.

Nazajutrz, po wypoczynku i posiłku, pożegnałem państwa N. i razem z kapralem ruszyliśmy dalej. Tegoż dnia przed południem rozstałem się z moim wytrwałym towarzyszem. On poszedł na Kielce, ja na Radom i Warszawę. Podzieliłem całe nasze mienie na połowę, dałem mu pieniądze i ucałowałem go serdecznie.

Na pożegnanie powiedziałem:

— Morowy jesteś żołnierz, a pamiętaj, bracie że teraz zaczyna się najcięższa służba dla Polski!

Chłopak płakał i powtarzał:

— Tak jest, panie majorze. Tak jest, panie majorze. Będę pamiętał...

Zostałem sam. Znow owładnęła mną rozpacz. Przecież przez te pięć tygodni widziałem wszystkie okropności wojny, przeżyłem wszystkie ludzkie cierpienia. Zdawało się, że mam już dostateczną zaprawę, dostateczną odporność i dość stępienia uczuciowego. A jednak nie. Ten drobny na pozór fakt, że się rozstałem z ostatnim moim żołnierzem, na nowo wytrącił mnie z równowagi.

Dowlokłem się do jakiejś wsi, czułem, że iść

dalej nie mam siły. Wszedłem do pierwszej zagrody. Gospodarz, młody jeszcze chłop, powitał mnie przychylnie. Prosiłem, czyby mi nie dał odpocząć u siebie.

— A czemu nie? Toć i izby mam spore i w stodole jest miejsca dość. Gdzie wolicie, to se legnijcie.

Podziękowałem gospodarzowi, poczęstowałem go papierosem i poszedłem do stodoły. Położyłem się na snopkach zboża i szczęśliwie zasnąłem. Nad wieczorem obudzono mnie. Gospodyni ugościła mnie pożywieniem. Rozpytywali się o wszystko, na przemian chłop i jego żona, biadolili i wyrzekali na nieszczęście, które spadło na Polskę. W końcu chłop zawyrokował:

— Pojedziem jeszcze na tych psubratach, pojedziem lepiej niż w osiemnastym roku ...

Umówiłem się z gospodarzem, że mnie podwiezie furmanką ze dwadzieścia kilometrów. Wyruszyliśmy na drugi dzień rano. Chłop wybierał drogi boczne, aby się nie pokazywać Niemcom. Około południa dojechaliśmy do miejscowości, zdaje się, że to było Sienno. Zapłaciłem gospodarzowi za jego pomoc i dalej znów poszedłem piechotą.

W pierwszych dniach października dotarłem do Radomia. Miasto było przepełnione niemieckim wojskiem, sklepy porozbijane i porabowane, poza tym Radom niewiele ucierpiał od bombardowań.

Wstąpiła we mnie nowa energia. Byłem podniecony. Już tylko 100 kilometrów do Warszawy, mojego miasta.

Szukałem jakiejś okazji, by dalej już nie iść

piechotą i zyskać na czasie. Przy wylocie z miasta, na szosie warszawskiej, znalazłem wielką furmankę naładowaną prowiantami. Siedziało na niej kilka osób. Jechali do Grójca. Przysiadłem się do nich, za pewną opłatą. Nie wiem dlaczego, pasażerowie i sam furman okazywali mi wiele życzliwości i szacunku. Choć przyszedłem ostatni, usadowili mię na najlepszym miejscu na wozie. Niemcy nie kontrolowali pasażerów, jedynie właściciela wozu. Droga minęła spokojnie. W Grójcu znalazłem okazję do Warszawy, jakąś furmankę chłopską. Gdy zaczął padać deszcz, chłop dał mi worek i tak przykryty dojechałem do Warszawy.

Już poprzednio o zniszczeniu miasta dużo słyszałem od żołnierzy, których spotykałem po drodze, ale nie wierzyłem gadaniom, bo zawsze były przesadzone. Teraz sam miałem się o tym naocznie przekonać.

Przed wjazdem do miasta wysiadłem i dla pewności poszedłem piechotą. Przedostałem się na ulicę Grójecką. Po bokach, pod ścianami domów i na otwartych przestrzeniach widniały cielska popalonych czołgów niemieckich. Domy z wyszczerzonymi czeluściami popalonych okien przedstawiały ponury obraz rumowisk. Doszedłem do placu Narutowicza. Zniszczenie wzrastało. Przed kościołem pełno mogił z prymitywnymi krzyżami. Dom narożny P.K.O, trafiony w sam środek frontu, świecił przeraźliwą otchłanią swego nieszczęścia. Po drugiej stronie placu wznosił się olbrzym domu akademickiego, również w wielu miejscach rozbitego. U wlotu na ulicę Filtrową dom narożny usz-

kodzony pociskami artyleryjskimi. Ludzie chodzili jacyś nieprzytomni. Każda twarz wyrażała tragedię zbiorową i osobistą. Koszmar! Przeraził mnie ten widok. Machinalnie zdjąłem kapelusz i siedłem ulicami płacząc. Boże, jak bardzo bliskie były mi te miejsca... Ja, urodzony warszawianin, nie mogłem poznać Warszawy. Na Marszałkowskiej co drugi dom — zburzony lub spalony, a każdy z pozostałych uszkodzony pociskiem armatnim. Gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych spalony doszczętnie. Kościół Zbawiciela z odtrąconą wieżą, ciężko uszkodzony. Nowy świat przedstawiał się jako jedno rumowisko zburzonych i spalonych domów. Świętokrzyska na odcinku od Nowego Świata do Placu Napoleona nie istniała w ogóle, znikła pod gruzami domów. Plac Teatralny ze zniszczonym Teatrem Wielkim, wreszcie Plac Zamkowy ze spalonym Zamkiem i zburzonym Kościołem Bernardyńskim — i wszędzie, wszędzie na ulicach krzyże i mogiły...

Taką zastałem Warszawę w pierwszych dniach października 1939 roku. Jak długo chodziłem wśród rumowisk, co czułem, co myślałem, tego się opisać nie da. Gdy ochłonąłem, gdy doszedłem do przytomności, zacząłem szukać rodziny i znajomych. Nie znalazłem wielu z poszukiwanych, ale dowiedziałem się, gdzie jest żona. Nazajutrz pojechałem furmanką do jednego z podmiejskich letnisk, gdzie przebywała z rodzicami.

Po przybyciu przed willę zacząłem pukać, aby mi otworzono. Na ganek wyszedł ojciec żony i patrząc na mnie spytał:

— Czego pan sobie życzy?

Oniemiałem. Jakto, ojciec mnie nie poznaje?

Przyłożyłem palce do ust, by ojciec nie krzyknął i szepnąłem:

— Ojczy, to ja, Stefan.

Zdziwienie i radość błysnęły mu w oczach, po-
czął mi pośpiesznie otwierać drzwi.

Spytałem cicho:

— Stacha jest?

— Jest, jest, Boże, co za szczęście! — mówił
uradowany.

Wszedłem do małego przedpokoju, z którego
przez otwarte drzwi widziałem rozmawiające ze
sobą matkę i żonę. Przerwały rozmowę i przyglą-
dały mi się z zaciekawieniem. Stanąłem w progu,
coś mię ściśnęło za krtań. Nie mogłem wypowie-
dzieć słowa, siłilem się na uśmiech.

Wreszcie z okrzykiem radości zerwała się żona:

— Stefan, mam, to Stefan!

Padliśmy sobie w objęcia.

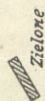
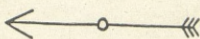
*

Pozostałem w kraju parę miesięcy. Poznałem
jego życie, ducha i siłę. Ale nie czas o tym pisać.

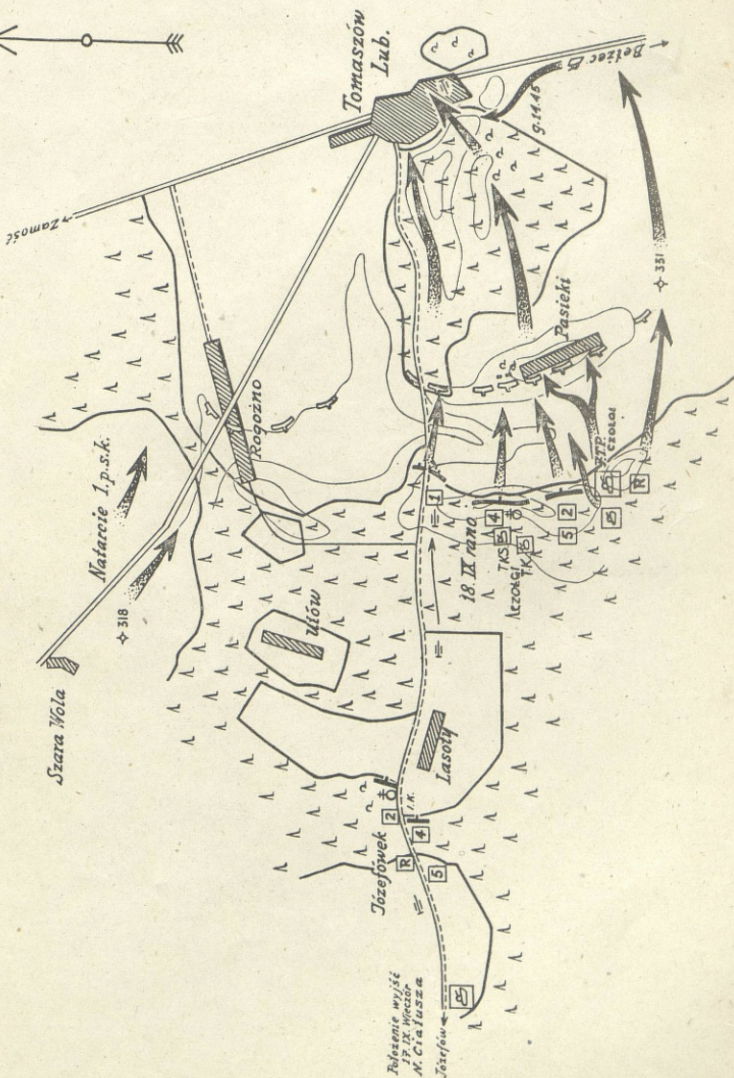
Pewnej nocy zimowej przeszedłem przez Karpa-
ty, ruszyłem na Węgry.

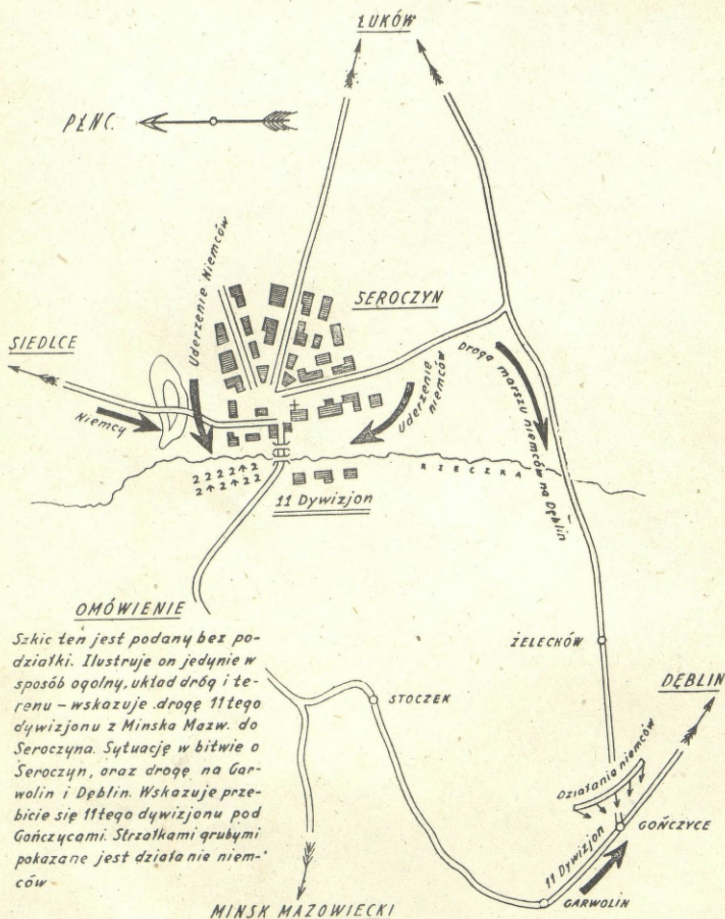
Odtąd już wędruję po świecie jako niepodległy
żołnierz polski i dożgonny niewolnik Ojczyzny.

PLNC.



Zielone

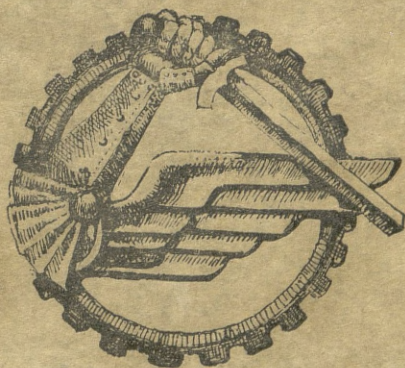




Szkic ten jest podany bez podziałki. Ilustruje on jedynie w sposób ogólny, układ dróg i terenu – wskazuje drogę 11tego dywizjonu z Minska Mazw. do Seroczyna. Sytuację w bitwie o Seroczyn, oraz drogę na Garwolin i Dęblin. Wskazuje przebieg 11tego dywizjonu pod Gończycami. Strzałkami grubymi pokazane jest działanie Niemców.



77981
17



CENA 3/-